

Zaczął się w Poznaniu

List 59 przeciw zmianie konstytucji

KOMBATANT

BIULETYN HISTORYCZNY Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

ISSN 0867-8952

NR 1(421) STYCZEŃ 2026

Rozliczenia
II wojny światowej

Jan Rodowicz
ps. **Anoda**



KOMBATANT
BIULETYN HISTORYCZNY
URZĘDU DO SPRAW KOMBATANTÓW
I OSÓB REPRESJONOWANYCH

ISSN 0867-8952

nr 1(421) styczeń 2026

dołącz do nas na facebooku i na X
  www.facebook.pl/udskior
<https://x.com/Kombatanci?mx=2>

Redakcja:

ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa

Redaktor naczelny:

Katarzyna Zientara-Majewski
e-mail: katarzyna.zientara@kombatanci.gov.pl

Opracowanie graficzne: Hanna Sater

Korekta: Norbert Nowotnik

Archiwalne numery „Kombatanta”

dostępne są na stronie www.kombatanci.gov.pl



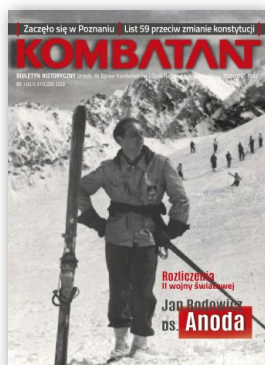
Projekt zrealizowano
we współpracy z Narodowym
Archiwum Cyfrowym

Wydawca:

Urząd do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych
ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa
punkt informacyjny tel. 22 276 77 77
www.kombatanci.gov.pl

Druk: Centrum Obsługi Administracji Rządowej
ul. Powsińska 69/71, 02-903 Warszawa

Nakład: 3500 egz.



w numerze

4 Zaczęło się w Poznaniu

Powstanie wielkopolskie uchodzi za najlepiej przygotowany polski zryw niepodległościowy. Jego sukces był wynikiem świetnej organizacji, ale też głębokiej świadomości narodowej Wielkopolan, wykuwającej się w wieloletnim oporze przeciw germanizacji

Waldemar Kowalski

8 Wszystko dla polskiej racji stanu

Na własne oczy widział upadek caratu i wybuch rewolucji w Rosji. Jerzy Giedroyc wielokrotnie podkreślał, że Polska powinna być pomostem między Wschodem a Zachodem Europy. Rozmowa z Anną Bernhardt, prezeską Stowarzyszenia Instytutu Literackiego Kultura

Katarzyna Krzykowska

12 Młt rozliczeń, czyli niemiecka porażka wymiaru sprawiedliwości

Niemieckie rozliczenia ze zbrodniami II wojny światowej to proces pełen sprzeczności. Choć Niemcy zyskały podziw świata za swoją „kulturę pamięci”, to najnowsza książka Tobiаса Bucka „Ostatni proces” wskazuje na historyczną porażkę zachodnioniemieckiego wymiaru sprawiedliwości

Norbert Nowotnik

16 Protesty przeciwko zmianie Konstytucji PRL

Wpisanie w 1975 r. do Konstytucji PRL, że „kierowniczą siłą jest PZPR” łamałoby „dotychczasowe demokratyczne zasady”, „Sejm przestałby być nadzrędną władzą PRL, a władza straciłaby charakter przedstawicielski”

Grzegorz Majchrzak

20 Ostatnie chwile „Anody”

Urzędowe pismo, lakoniczny zapis. Tyle wystarczyło komunistom, aby „zamknąć sprawę”. Nie skończyło to jednak domysłów i spekulacji, które – także dziś – rzucają się cieniem na śmierć niespełna 26-letniego bohatera

Waldemar Kowalski

24 Szpicel i jego ofiara. Jak w II RP próbowano rozliczyć tajnych współpracowników policji politycznej z okresu zaborów

Dobrym przykładem ukazującym jakim wyzwaniem dla odrodzonej Polski było rozliczenie się z agentami zaborców jest przypadek konfidenta carskiej Ochrazy Michała Wolgemuta

Przemysław Maksymiuk

28 Walka o zachowanie człowieczeństwa

Od początku w gettach zaczął tworzyć się wielki cywilny ruch oporu, którego celem było nie tylko przetrwanie, ale także zachowanie człowieczeństwa. Rozmowa z historykiem, dr Hanną Węgrzynek zajmująca się dziejami Żydów w Polsce

Mateusz Wyderka

Okładka: Jan Rodowicz ps. Anoda na nartach w Tatrach, zima 1945–1946 r. FOT. AIPN

Szanowni Państwo,

historia XX wieku nie jest dla Polski zamkniętym rozdziałem. To doświadczenie wciąż obecne w naszym myśleniu o państwie, wolności i odpowiedzialności – doświadczenie, które powraca w momentach próby, zmuszając do stawiania pytań o sens wspólnoty i granice kompromisu. Oddając w Państwa ręce ten numer, zapraszam do refleksji nad drogą, jaką przeszła Polska w minionym stuleciu oraz nad konsekwencjami wyborów, które wówczas podejmowano.

Wracamy do Poznania i Powstania Wielkopolskiego – wydarzenia wyjątkowego nie tylko ze względu na militarny sukces, lecz przede wszystkim na jego genezę. Był to triumf dojrzałego społeczeństwa, zdolnego do działania zbiorowego, opartego na pracy organicznej, dyscyplinie i poczuciu odpowiedzialności za państwo. W tej historii odnajdujemy ważną lekcję: niepodległość nie rodzi się wyłącznie w chwilach zrywu, lecz dojrzewa latami w codziennym wysiłku obywatelskim.

W kolejnych tekstach przyglądamy się powojennym rozliczeniom – analizujemy niemieckie próby zmierzenia się z odpowiedzialnością za zbrodnie II wojny światowej, a także przypominamy polskie doświadczenia, pokazując, jak w II Rzeczypospolitej próbowano rozliczyć tajnych współpracowników policji politycznej z okresu zaborów. Przypadek konfidenta carskiej Ochrazy Michała Wolgemuta unaocznia skalę wyzwań, przed jakimi stało odrodzone państwo, zmuszone do budowania swojej suwerenności także w wymiarze moralnym i prawnym.

Rok 2026 został ustanowiony uchwałą Senatu RP Rokiem Jerzego Giedroycia – jednej z najważniejszych postaci polskiej myśli politycznej XX wieku. To dobra okazja, by na nowo przywołać jego intelektualne dziedzictwo oraz wizję Polski zakorzenionej w Europie, a zarazem odpowiedzialnej za relacje ze swoimi wschodnimi sąsiadami. W rozmowie z Anną Bernhardt przybliżamy sylwetkę redaktora „Kultury”, jego doświadczenia ukształtowane przez obserwację upadku caratu i rewolucji w Rosji, a także konsekwentnie realizowaną ideę Polski jako pomostu między Wschodem a Zachodem – ideę, która mimo upływu lat nie traci na aktualności.

14 lutego przypada pierwsza rocznica ustanowienia Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Armii Krajowej – święta o głębokim wymiarze symbolicznym. Przypomina ono nie tylko o wojennym czynie Armii Krajowej, lecz także o powojennych losach jej żołnierzy, często naznaczonych represjami, marginalizacją czy próbami wymazania ich zasług z naszej pamięci. Dzisiejsze upamiętnienie jest więc aktem historycznej sprawiedliwości oraz zobowiązaniem wobec tych, którzy poświęcili młodość, zdrowie, a nierzadko życie w imię wolnej Polski. W ramach obchodów Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, wspólnie ze Światowym Związkiem Żołnierzy Armii Krajowej oraz miastem stołecznym Warszawa, zaprasza do udziału w uroczystościach: Mszy Świętej w Bazylice Świętego Krzyża (godz. 11.00), przemarszu ulicami Warszawy oraz głównych obchodach przy Pomniku Polskiego Państwa Podziemnego i Armii Krajowej.

Niech nasza obecność będzie wyrazem pamięci, szacunku i wdzięczności dla Ich odwagi i niezwykłego poświęcenia.



Lech Parell

*Szef Urzędu do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych*



TEKST | Waldemar Kowalski

Zaczęło się w Poznaniu

107 lat temu Poznań, a w ślad za nim prawie cała Wielkopolska, stały się areną wydarzeń, które odmieniły losy odradzającego się kraju. Polacy z prowincji poznańskiej chwycili za broń, aby wywalczyć sobie wolność.

Powstanie wielkopolskie uchodzi za najlepiej przygotowany polski zryw niepodległościowy. Jego sukces był wynikiem świetnej organizacji, ale też głębokiej świadomości narodowej Wielkopolan, wykuwającej się w wieloletnim oporze przeciw germanizacji. Nie była to romantyczna walka, lecz dobrze zorganizowany, wynikający z patriotyzmu, osadzony w pragmatyzmie, bój o samostanowienie.

Słowa, które poruszyły serca

Za bezpośrednią przyczynę wybuchu walk uznaje się wydarzenia, do któ-

rych doszło 26 grudnia 1918 roku w Poznaniu. Tego dnia, mimo protestu władz niemieckich, w mieście zatrzymał się Ignacy Jan Paderewski. Spowodowało to powszechny entuzjizm – ulice wypełniły tłumy, dla których przyjazd wirtuoza fortepianu, a zarazem gorącego patrioty, był wielce symbolicznym gestem.

– *Odbuduje Polskę przede wszystkim chłop polski i robotnik polski z niej powstały i my wszyscy, o ile pójdziemy z ludem. (...) Niech żyje polska zgoda i jedność, a ojczyzna nasza wolna, zjednoczona, z naszym polskim wybrzeżem, żyć będzie po wsze czasy!*

– wiwatował Paderewski, przemawiając pamiętnego wieczoru z okna Hotelu Bazar.

Tłum mieszkańców zgromadzony na Placu Wilhelma (dzisiejszy Plac Wolności) żywo reagował na płomienne, dodające nadziei i otuchy, słowa. Entuzjizm szybko przerodził się we wrzawę. Wolność wisiała w powietrzu i czuli to wszyscy, którzy tego wieczoru zgromadzili się pod poznańskim Hotelem Bazar.

Nazajutrz spod miejsca, w którym Paderewski zatrzymał się na noc, wyruszyła w pochód przez miasto liczna manifestacja Polaków, śpiewających



FOT. EAST NEWS

domów prywatnych i zrywając tamże z balkonów chorągwie koalicyjne i amerykańskie, i polskie, które deptano nogami – relacjonował „Kurier Poznański”.

Nie wiadomo, kto pierwszy pociągnął za spust. Pewne jest natomiast, że zamieszki przerodziły się w otwartą wymianę ognia. Walczono m.in. o koszary piechoty i artylerii oraz gmach Prezydium Policji, gdzie poległ od niemieckich kul pierwszy powstańca – Franciszek Ratajczak.

Przebieg wypadków obszernie relacjonowała poznańska prasa: *Gdy mrok zapadał, rozpoczęli żołnierze niemieccy strzelaninę z kierunku Pre-*

ników z Pleszewa, Kórnik i Środy Wielkopolskiej. Do walk i potyczek dochodziło też w innych miejscowościach. Mimo podjęcia rokowań, zbrojny zryw o zrzućenie niemieckiej niewoli stał się faktem.

Po dwóch dniach stolica Wielkopolski znajdowała się już w polskich rękach. Działacz Polskiej Partii Socjalistycznej, stojący od niedawna na czele Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej, Jędrzej Moraczewski tak opisywał przebieg starć z zaborcą: *Właściwie walki regularnej na ulicach nigdzie nie było, nie było również barykad, bo Niemcy strzelali z ukrycia, z bram i okien domów. Strzelanina obustronna trwała dwa dni. Polacy zdobywali poszczególne budynki publiczne i wojskowe. W ciągu dwóch dni zdobyli arsenał, zamek królewski, regencję, prezydium policji, dworzec kolejowy, pocztę i składy wojskowe. Twierdza wraz z wszystkimi fortami znalazła się już 28 grudnia w rękach polskich. Po rozbrojeniu 6. pułku gwardii w dniu 29 grudnia znalazł się cały Poznań w rękach polskich.*

Nadciągały do miasta oddziały uzbrojonych żołnierzy niemieckich z 6. pułku grenadierów, w liczbie około 200, wtargnęli do gmachu Naczelnej Rady Ludowej, zrywając sztandary

Nie należy dłużej czekać

Tak szybkie opanowanie miasta wynikało z dobrego przygotowania i organizacji sił powstańczych. Warto odnotować, że na terenie Wielkopolski działały liczne organizacje paramilitarne, w tym Polska Organizacja Wojskowa Zaboru Pruskiego oraz oddziały „Sokoła”.

Wskutek szybkiego rozwoju walk NRL powołała do życia Komendę Główną Wojsk Powstańczych. Na jej czele stanął kpt. Stanisław Taczak (na początku 1919 roku awansowany na majora). Naczelnik Państwa Józef Piłsudski telefonicznie zaakceptował tę nominację.

Działania zbrojne – zgodnie z przekazanym z Poznania na prowincję hasłem „nie należy dłużej czekać” – w szybkim tempie rozprzestrzeniły się w mniejszych miejscowościach.



Generał Józef Dowbor-Muśnicki FOT. EAST NEWS

patriotyczne pieśni. Niemcy uznali to za polityczną prowokację. Nie zamierzali beczynn timer czekać na dalszy rozwój wypadków, więc zorganizowali własną demonstrację. Eskalacja konfliktu była już tylko kwestią czasu...

– Nadciągały do miasta z koszar na Jeźcach oddziały uzbrojonych żołnierzy niemieckich z 6. pułku grenadierów, w liczbie około 200, z oficerem na czele, śpiewając niemieckie pieśni, wtargnęli do gmachu Naczelnej Rady Ludowej, zrywając tamże sztandary angielski, amerykański i francuski. W dalszym pochodzie przez św. Marcina, ul. Wiktorii, Berlińską i Plac Wilhelmowski czynili to samo, wdzierając się zwłaszcza na Berlińskiej do

zydium Policji. Niemcy ustawili tutaj dwa karabiny maszynowe i wśród ogólnego popłochu skonsternowanej ludności rozpoczęli ogień w kierunku „Bazaru”, między innymi w okna, gdzie mieszka Paderewski, złożony niemocą po przebyciu na okręcie hiszpance (...). Ze strony polskiej zrazu nie odpowiadano, usiłowano dojść do jakiegoś porozumienia i uniknąć krwi rozlewu. Gdy jednak strzały nie ustawały, gdy szereg osób odniosło rany, Straż Ludowa poczęła odpowiadać na strzały i zarządziła środki bezpieczeństwa mające chronić przechodniów – czytamy w jednym ze sprawozdań.

Jeszcze 27 grudnia w kierunku Poznania wyruszyły oddziały ochot-

Już 28 grudnia opanowano Wrzesnię, zdobywając niemieckie koszary z bronią, końmi i wyposażeniem. Powstańcy chwycili za broń również w Jarocinie, Ostrowie i Pleszewie oraz Gnieźnie.

W kolejnych dniach Polacy przejęli kontrolę m.in. nad Kórnikiem, Grodziskiem Wielkopolskim, Gołańczą czy Wągrowcem. Bohaterstwem wsławił się kościański skauci, którzy – w ramach przeprowadzonej z powodzeniem akcji „Wolność” – wykradli spore ilości broni i amunicji z niemieckich magazynów.

Do zaciętych walk doszło pod Zdziechową. W wyniku zwycięskiego dla powstańców boju do niewoli pojmano 27 niemieckich oficerów oraz ok. 400 żołnierzy. 31 grudnia, dzięki użyciu pociągu pancernego „Poznańczyk”, udało się zdobyć Ostrów Wielkopolski. W międzyczasie broń złożył niemiecki garnizon w Śremie. Powstańcy przejęli ok. 1500 karabinów.

W ciągu kilkunastu dni od wybuchu walk powstańcy kontrolowali już obszar ok. 25 tys. km kwadratowych! Na zajętych terytoriach tworzone lokalne Straże Bezpieczeństwa.

Ławica nasza!

Początek 1919 roku przyniósł kolejne sukcesy. Powstańcy przejęli strategiczną linię kolejową z Berlina na Pomorze. W polskie ręce trafiły też: Jarocin, Krotoszyn, Ostrzeszów, Mogilno, Żnin, Nakło, Strzelno, Nowy Tomyśl, Czarnków, Wolsztyn oraz Gostyń. Wiele z zajętych miejscowości przechodziło później z rąk do rąk. Wyjątkowo zaciekle boje toczono m.in. pod Inowrocławiem i Zbąszyniem.

Tak walki o ten ostatni zapamiętał powstaniec Stanisław Celichowski: *Rozpoczął się ciężki bój o każdy dom, bój, którego zdradliwość zna każdy żołnierz, który kiedykolwiek wziął udział w ulicznej walce. (...) Lecz nieprzyjaciół nie dopuszczał do walki na białą broń i zniknął, ilekroć nasz*



Dowódca powstania wielkopolskiego gen. Józef Dowbor-Muśnicki z oficerami
FOT. EAST NEWS

Rozpoczął się ciężki bój o każdy dom, bój, którego zdradliwość zna każdy żołnierz, który kiedykolwiek wziął udział w ulicznej walce

żołnierz wpadał do środka domu. Nie wiadomo czy Niemcy uciekali, czy chowali się po nieznanym nam zakamarkach, by na tyłach podjąć walkę. To uchylanie się od walki wręcz – jednego tylko wzięliśmy jeńca – było jednak niebezpieczne i niepokojące.

Jednym z największych polskich sukcesów było opanowanie 6 stycznia niemieckiego lotniska w podpoznańskiej wówczas Ławicy. Błyskawiczny i dobrze zaplanowany szturm pozwolił całkowicie zaskoczyć nieprzyjaciela. Poddano się 7 oficerów i ok. 200 niemieckich żołnierzy. Tej spektakularnej akcji dokonało zgrupowanie powstańcze pod dowództwem ppor. Andrzeja Kopy. Przy minimalnych stratach własnych (jeden poległy żołnierz) udało się zdobyć ponad 30 samolotów wroga oraz ogromne zapasy

sprzętu, w tym kilkaset silników! Przejęte maszyny dały początek lotnictwu Armii Wielkopolskiej.

Utrata lotniska z pewnością zabolowała Niemców, którzy następnego dnia poderwali samoloty z lotniska we Frankfurcie nad Odrą z zamiarem zbombardowania Ławicy.

Anonimowy świadek nalotu (kryjący się pod pseudonimem „Adlot”) zapisał: *Nagle o godz. 12-tej w południe usłyszeliśmy oddzielne strzały karabinowe, a później szum motorów. To kilkanaście aparatów niemieckich przyleciało, aby zbombardować stację. Kto żyw chwycił za broń i ogniem karabinowym starał się odstraszyć Niemców. Po chwili z wieży odezwało się trąkotanie karabinu maszynowego. Wkrótce potem usłyszeliśmy huk rozrywających się bomb, które niemieccy lotnicy zrzucali na hangary, biura, składnice itd. Po półgodzinnym bombardowaniu Niemcy odlecieli, a odlecieli aby nie powrócić nigdy. Zaraz też udaliśmy się, aby obejrzeć wyrządzone straty. Na szczęście większych szkód nie było.*

Niebawem nieprzyjaciół rozpoczął ofensywę, której celem było zajęcie Poznania i ostateczne zdławienie polskiego oporu. Decydujące starcie rozegrało się pod Osieczną podczas tzw. bitwy pod wiatrakami. Powstań-

cy zatrzymali wroga, zagrażając tym samym drogę do stolicy regionu.

Ślubuję, że Polsce służyć będę...

8 stycznia Komisariat NRL wydał odezwę informującą o przejęciu władzy w Wielkopolsce. Natychmiast przystąpiono do podjęcia działań dyploma-

W połowie stycznia dowództwo wojskowe nad powstaniem – jako „Głównodowodzący wszystkich Sił Zbrojnych Polskich byłego Zaboru Pruskiego” – przejął z rąk NRL gen. Józef Dowbor-Muśnicki, wprawiony w bojach w czasie I wojny światowej, organizator i dowódca I Korpusu Polskiego w Rosji.

Zapomnijcie o tej zmurze, która panowała w szeregach armii narodów – ciemieżców, w których nieludzkie obchodzenie się z żołnierzami i pogarda dla niego były systemem. Podobnie stosunki nie mogą mieć miejsca w szeregach Wojsk Polskich. Winniście być nie tylko dowódcami (...), ale też zawsze starszymi, kochającymi i troskliwymi braćmi żołnierzy.

Rozkazem gen. Dowbora-Muśnickiego zreorganizowano oddziały, znacząco podnosząc wartość bojową armii. Wprowadzono też jednolite umundurowanie oraz odznaki dla artylerii i piechoty. Szefem sztabu Armii Wielkopolskiej został niebawem płk Władysław Anders. 26 stycznia na Placu Wilhelma w Poznaniu dowódca Armii Wielkopolskiej złożył uroczystą przysięgę tej treści: *W obliczu Boga Wszechmogącego w Trójcy Świętej Jedyne ślubuję, że Polsce, Ojczyźnie mojej i sprawie całego Narodu Polskiego zawsze i wszędzie służyć będę, że kraju Ojczystego i dobra narodowego do ostatniej kropli krwi bronić będę, że Komisarzowi Naczelnej Rady Ludowej w Poznaniu i dowódcom, i przełożonym swoim mianowanym przez tenże Komisariat, zawsze i wszędzie posłuszny będę, że w ogóle tak zachowywać się będę, jak przystoi na mężnego i prawego żołnierza-Polaka, że po zjednoczeniu Polski złożę przysięgę żołnierską, ustanowioną przez polską zwierzchność państwową.*

Rozejm w cieniu prowokacji

Pod koniec stycznia wojska niemieckie przypuściły ofensywę na linii Bydgoszcz-Nakło, odzyskując część utraconego wcześniej terytorium. Te i inne boje pozostawały jednak w cieniu rokowań polsko-niemieckich, które rozpoczęły się w Berlinie 2 lutego. Pierwsze próby porozumienia nie przyniosły rezultatów – Polacy nie zgodzili się na rozwiązanie Armii

FOT. EAST NEWS



Powstańcy wielkopolscy na stanowisku ogniowym FOT. EAST NEWS

tycznych na rzecz ustalenia zachodniej granicy odrodzonego kraju, licząc na przychylność mocarstw i korzystne rozstrzygnięcia w Paryżu. Właśnie tam niebawem miała się rozpocząć konferencja pokojowa, której celem miało być stworzenie „nowego ładu” po Wielkiej Wojnie.

Armia Wielkopolska liczyła wówczas prawie 14 tys. ludzi pod bronią. 17 stycznia, kiedy zadecydowano o ogłoszeniu poboru do wojska, dowódca zwrócił się z odezwą do żołnierzy: *Do Was zwracam się oficerowie!*

Wielkopolskiej, ani uznanie niemieckich praw do regionu.

Dopiero 16 lutego 1919 roku, pod naciskiem Francji, Niemcy podpisały w Trewirze rozejm obejmujący front wielkopolski. Wytyczono linię demarkacyjną, a siły powstańcze zostały formalnie uznane za wojsko sprzymierzone. – *Niemcy powinni niezwłocznie zaprzestać wszelkich działań ofensywnych przeciwko Polakom w Poznaniu i we wszystkich innych okęgach* – napisano w postanowieniach traktatu.



Oddział powstańców wielkopolskich na dworcu kolejowym w Kościanie FOT. EAST NEWS

Strona niemiecka nie dotrzymała warunków uzgodnionych w Trewirze, prowokując liczne starcia na granicy. Rząd polski składał w tej sprawie protesty, alarmując aliantów o działaniach zaczepnych wroga. W związku z tym 20 lutego w Warszawie obradowała Komisja Międzysojusznicza.

W depeszy do Sekretariatu Generalnego Konferencji Pokojowej w Paryżu komisja stwierdzała: *Udział artylerii w operacjach oznacza jasno, że nie chodzi tu o sporadyczne poczynania band, wymykających się spod kontroli dowództwa. Usiłując wejść w kontakt z władzami niemieckimi, aby położyć kres tej sytuacji, Komisja uważa za konieczne zasignalizować Wam to rzucające się w oczy pogwałcenie rozejmu.*

Sytuacja na linii frontu była na tyle poważna, że Rząd RP poważnie brał pod uwagę możliwość eskalacji konfliktu. Mieli tego pełną świadomość zarówno Piłsudski, jak i dowódca powstania, którzy spotkali się w Kaliszu 27 maja 1919 roku. W związku z grożącym niebezpieczeństwem Piłsudski przejął dowodzenie nad całością wojsk wielkopolskich. Generał Dowbor-Muśnicki objął komendę nad Frontem Wielkopolskim.

Niebawem, 6 czerwca, na obszarze sobie podległym Komisariat NRL wprowadził stan wyjątkowy. Granica wciąż była niespokojna, głównie za sprawą aktywności niemieckiej artylerii. Dochodziło do potyczek, czego przykładem była walki pod Szubinem stoczone nocą z 18 na 19 czerwca.

Dziesięć dni później – 28 czerwca – w Pałacu Wersalskim podpisano traktat pokojowy. W skład odrodzonego państwa polskiego miała wejść m.in. Wielkopolska bez Babimostu, Skwierzyny i Wschowy. Polsce przyznano również tereny, które nie zostały opalone przez wojska powstańcze z miastami: Leszno, Rawicz i Zbąszyń.

Podczas bankietu, który 26 października odbył się w Zamku Cesarskim w Poznaniu, Józef Piłsudski wygłosił uroczyste przemówienie na cześć Wielkopolski i jej mieszkańców. Zakończył je słowami: *Gdy myśle o zadaniach stojących przed Polską, chciałbym wnieść od was do Polski całą waszą namiętność pracy, która by Polskę przeniknęła, dała umiejętność zorganizowania pracy sumiennej, umiejętność pracy uczciwej. W tym głębokim przekonaniu, że Wielkopolanie wniosą do całej Polski tę swoją cnotę, wznoszę toast: Poznań i dzielnica, która tak ciężką walką wytrzymała, a jednakże z niej wyszła moralnie zwycięską – niech żyje!* ■



Anna Bernhardt FOT. PAP

Jerzy Giedroyc mówił o sobie, że ma talent reżysera, a więc umie znajdować współpracowników. To on był motorem, inicjatorem i autorem koncepcji politycznych, ale bez najbliższego kręgu współpracowników, przede wszystkim Józefa Czapkiego, małżeństwa Hertzów i swego młodszego brata Henryka, nie miał szans na realizację swych celów – powiedziała Anna Bernhardt, prezeska Stowarzyszenia Instytutu Literackiego Kultura.



FOT. ZBIGNIEW DŁUBAK / INSTYTUT LITERACKI KULTURA

Wszystko dla polskiej racji stanu

W jaki sposób obserwacja upadku cesarstwa i wybuchu rewolucji w Rosji, którą Jerzy Giedroyc widział na własne oczy jako uczeń w Moskwie i Mińsku, wpłynęła na jego późniejszy stosunek do komunizmu i Rosji?

Jerzy Giedroyc, urodzony w 1906 roku, był w czasie wybuchu rewolucji chłopcem, a wrażenia z tego okresu opowiedział Mirosławowi A. Supruniukowi: *Przeżywalismy wtedy euforię, nie było lekcji, biegano się na wszystkie manifestacje, nauczyłem się palenia papierosów, bratania się z żołnierzami i jakieś takie najśmieszniejsze historie. Pamiętam taki obraz, który potem był niewiarygodny zupełnie: przyjechała wtedy do Moskwy delegacja ułanów z korpusu Dowbór-Muśnickiego, żeby wziąć sztandary polskie z Kremla, tłum ich niósł na koniach*

*w powietrzu. Nieprawdopodobna manifestacja propolska. Natomiast w „Autobiografii na cztery ręce” pod redakcją Krzysztofa Pomiana wspominał: *Lubiłem bale emigracji rosyjskiej, które uważałem za bardzo przyjemne i chętnie brałem w nich udział. Właśnie na jednym z takich balów poznałem moją przyszłą żonę.* Redaktor „Kultury” paryskiej zawsze podkreślał, że walczy z reżimem komunistycznym, z sowietyzmem, z nacjonalizmem, a nie z narodem rosyjskim. Uważał, że normalizacja stosunków polsko-rosyjskich jest dla nas, dla Polski, koniecznością.*

Redaktor często podkreślał swoje pochodzenie z Wielkiego Księstwa Litewskiego. W jakim stopniu to poczucie bycia „Litwinem z kultury i tradycji, a Po-

lakiem z języka i wyboru” wpłynęło na jego unikalną perspektywę?

Jerzy Giedroyc, zapytany miesiąc przed śmiercią – latem 2000 roku – kim się naprawdę czuje, odparł: *Mam pewien sentyment do Litwy, prawda, ale (...) Gdyby ktoś mnie zapytał, co jest moją ojczyzną, to bym odpowiedział, że Wschodnia Europa.* I właśnie z tej perspektywy, wschodnioeuropejskiej Redaktor patrzył na zagadnienia polskiej polityki. Wielokrotnie podkreślał, że Polska powinna być pomostem między Wschodem a Zachodem Europy, a jej silna pozycja w Europie i świecie zależeć będzie od tego, jak ułoży sobie stosunki ze wschodnimi sąsiadami.

Na czym dokładnie polegała opracowana przez Giedroycia i Juliusza Mieroszewskiego doktryna ULB i dlaczego była ona przełomowa dla polskiej polityki wschodniej po II wojnie światowej?

Niemal od samego początku na łamach miesięcznika „Kultura” ukazywały się teksty poświęcone przyszłości stosunków z sąsiadami, te zagadnienia uważał Jerzy Giedroyc za najważniejsze dla Polski. W 1952 roku opublikował list Józefa Majewskiego, młodego kleryka z Pretorii, który postulował pogodzenie się z utratą Wilna i Lwowa na rzecz Litwinów i Ukraińców. Prasa emigracyjna zatrzęsała się od oburzenia i protestów. Komentując te reakcje, Juliusz Mieroszewski podkreślał, że „Polska może odzyskać i utrzymać byt niepodległy tylko w ramach sfederalizowanej całej Europy”.

Zwieńczeniem tej debaty był artykuł tego czołowego publicysty „Kultury” pt. „Rosyjski »kompleks polski« i obszar ULB”, który się ukazał w 1974 roku. – *Ukraińcy, Litwini i Białorusini w dwudziestym wieku nie mogą być pionkami w historycznej grze polsko-rosyjskiej* – pisał Mieroszewski – *Musimy szukać kontaktów i porozumienia z Rosjanami gotowymi przyznać pełne prawo do samostanowienia Ukra-*

incom, Litwinom i Białorusinom i, co również ważne, musimy sami zrezygnować raz i na zawsze z Wilna, Lwowa i z jakiegokolwiek polityki czy planów, które by zmierzały do ustanowienia w sprzyjającej koniunkturze naszej przewagi na Wschodzie kosztów cytowanych powyżej narodów. Tak Polacy, jak i Rosjanie muszą zrozumieć, że tylko nieimperialistyczna Rosja i nieimperialistyczna Polska miałyby szansę ułożenia i uporządkowania swych wzajemnych stosunków. Musimy zrozumieć, że każdy imperializm jest zły – zarówno zrealizowany, jak i potencjalny, czekający na koniunkturę. Ukraińcom, Litwinom i Białorusinom musi być przyznane w przyszłości pełne prawo do samostanowienia, bo tego wymaga polsko-rosyjska racja stanu. Tylko na tej drodze byłoby możliwe pogrzebanie katastrofalnego systemu „my albo oni”.

Trzy lata później na łamach „Kultury” ukazała się deklaracja w sprawie niepodległości Ukrainy, w której między innymi czytamy: *Nie będzie wolnych naprawdę Polaków, Czechów czy Węgrów bez wolnych Ukraińców, Białorusinów czy Litwinów. I, w ostatecznym rozrachunku, bez wolnych Rosjan. Bez Rosjan wolnych od ambicji imperialnych, rozwijających własne życie narodowe, szanujących prawo do samostanowienia innych narodów.*

Jak podkreśla Bogumiła Berdychowska we wstępie do tomu „Zamiłowanie do spraw beznadziejnych”, dokument podpisali przedstawiciele emigracji polskiej, czeskiej i węgierskiej. Jednak z oczywistych powodów najważniejsze były podpisy rosyjskich emigrantów: Andrieja Amalrika, Władimira Bukowskiego, Natalii Gorbuniewskiej, Władimira Maksimowa i Wiktora Niekrasowa. Była to bodajże pierwsza międzynarodowa akcja, w czasie której intelektualiści rosyjscy dopuścili myśl o ewentualnej niepodległości Ukrainy.

Jak Giedroycowi udało się przekonać gen. Władysława Andersa do sfiansowania początków działalności wydawniczej w Rzymie, mimo dzielących ich różnic ideowych?

Wojna się skończyła, Polska została oddana Stalinowi, powrót do kraju był dla wielu żołnierzy niemożliwy, wręcz równał się wyrokowi śmierci. Jerzy Giedroyc miał świadomość, że należy kontynuować walkę słowem, zniewolonym przez komunistów dawać otuchę i utrzymywać ich kontakt z wolnym światem, a także podtrzymywać ducha wśród zmuszonych do emigracji Polaków. Generał Anders, w bliskich stosunkach z Józefem Czapskim, był świadomy tej sytuacji i powołał do życia Instytut Literacki w lutym 1946 roku. Generał nie zdawał sobie zapewne wtedy sprawy, jak niezależnym i prężnym ośrodkiem stanie się „Kultura” paryska.

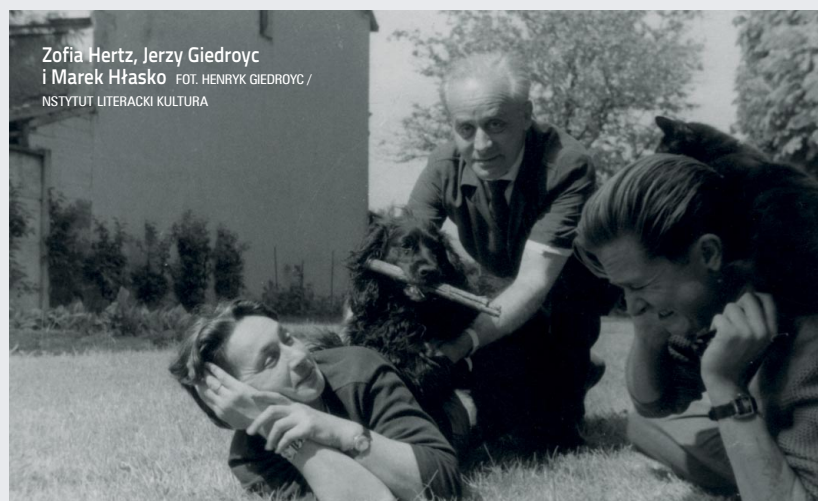
Na ile sukces „Kultury” był wynikiem indywidualnego geniuszu Giedroycia, a na ile efektem symbiozy z tą małą, rodzinną wspólnotą, która stworzyła dom w Maisons-Laffitte?

Jerzy Giedroyc mówił o sobie, że ma talent reżysera, a więc umie znajdować współpracowników. To on był motorem, inicjatorem i autorem koncepcji politycznych, ale bez najbliższego kręgu współpracowników, przede wszystkim Józefa Czapskiego, mał-

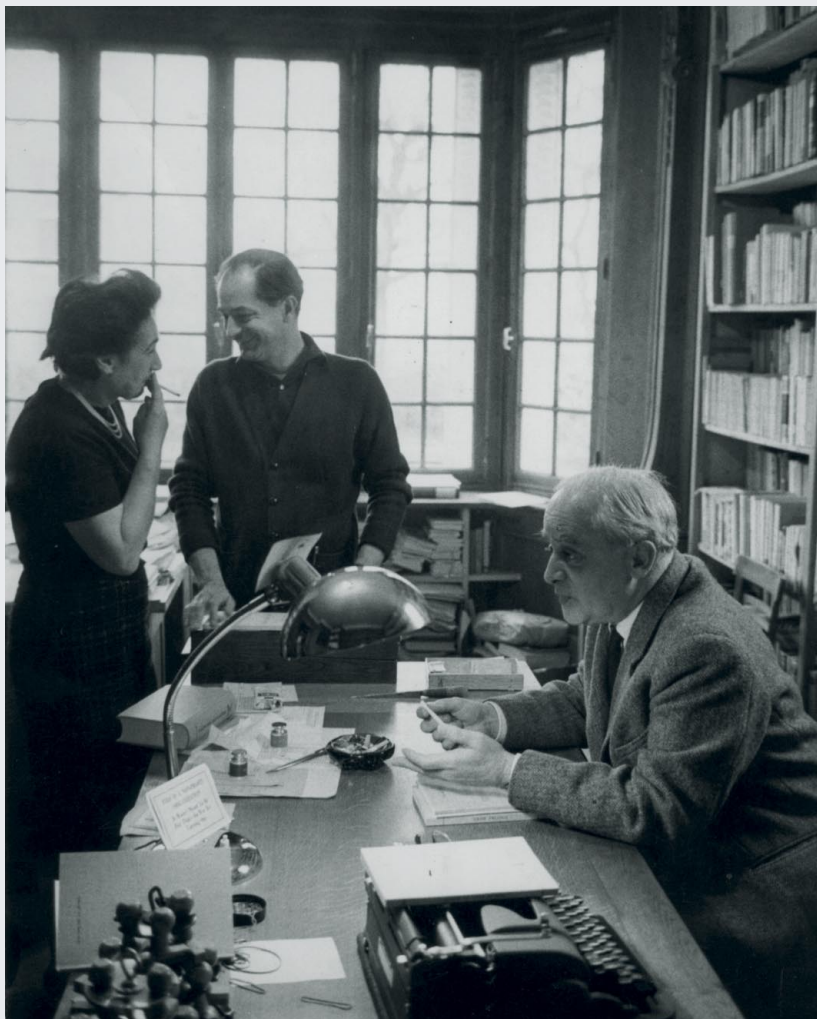
żeństwa Hertzów i swego młodszego brata Henryka, nie miał szans na realizację swych celów. Z biegiem lat udało mu się wciągnąć w ten krąg ludzi, którzy poza „Kulturą” paryską nie spotykali się, nie działali razem, ale zostali „uwiedzeni” przez Giedroycia wizją przyszłej Polski.

Przez ponad pół wieku Giedroyc niemal nie opuszczał siedziby pod Paryżem i nie wyjeżdżał na wakacje. Czy ta skrajna asceza była poświęceniem dla „sprawy”, czy raczej koniecznym rygiorem, który pozwalał mu zachować niezależność i dystans wobec świata zewnętrznego?

Jerzy Giedroyc jeździł – zwłaszcza na początku działalności – regularnie do Londynu, spotykał się często z różnymi rozmówcami w Paryżu (ciekawym źródłem z kim i gdzie są zapiski w jego agendach, których zbiór z lat 1942–2000 znajduje się w łafickim archiwum), później brał udział w targach książki we Frankfurcie, ale na wakacjach był chyba tylko dwa razy. Dla Redaktora lipiec–sierpień, po oddaniu podwójnego numeru „Kultury” do druku, był okresem odrabiania zaległości: czytanie przysłanych do redakcji maszynopisów, a przede wszystkim zaległej korespondencji. No i przyjmowanie gości, bo jednak okres letni sprzyjał też wizytom.



Zofia Hertz, Jerzy Giedroyc
i Marek Hłasko FOT. HENRYK GIEDROYC /
INSTYTUT LITERACKI KULTURA



Dlaczego po 1989 roku, mimo licznych zaproszeń i najwyższych honorów, Redaktor nigdy nie zdecydował się odwiedzić wolnej Polski?

Na to Jerzy Giedroyc odpowiedział sam pytany przez młodych internautów na miesiąc przed śmiercią: *Nie przyjeżd-*

Zofia Hertz, Henryk Giedroyc i Jerzy Giedroyc przy pracy, Maisons-Laffitte, 1965 r. FOT. HENRYK GIEDROYC / INSTYTUT LITERACKI KULTURA

dzałem do Polski z wielu względów, przede wszystkim dlatego, że uważam, że moja działalność na emigracji jest skuteczniejsza, a jadąc do Polski byłbym narażony na rozgrywki personalno-partyjne, które praktycznie paraliżowałyby moją działalność. Trzeba też pamiętać, że w momencie odzyskania niepodległości Jerzy Giedroyc był już starszym panem i pomimo świetnej, nadal sprawnie działającej głowy do ostatnich dni, miał trudności z poruszaniem się.

Co z dziedzictwa Jerzego Giedroycia powinniśmy zachować i dalej rozwijać?

Dzięki staraniom i wysiłkom Giedroycia na łamach „Kultury” ukazały się tek-

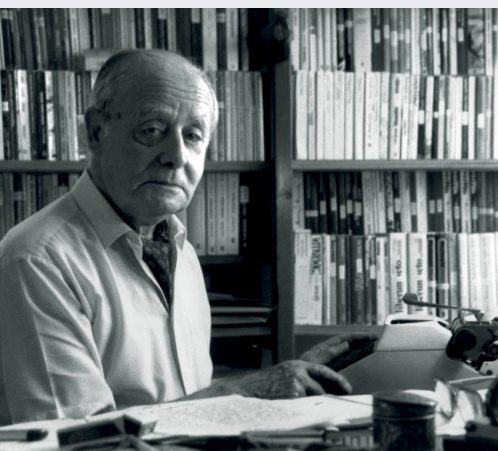
sty Czapskiego, Gombrowicza, Miłosza, Bobkowskiego, Herlinga-Grudzińskiego, Hłaski, Straszewicza, Haupta – by wymienić tylko kilku pisarzy, bez których trudno sobie wyobrazić literaturę polską. To na łamach publikacji, które ukazywały się z charakterystyczną kolumnienką jońską, toczyła się dyskusja, a nawet zagorzałe spory na temat przyszłego kształtu Polski. A wszystko podporządkowane jednemu celowi: polskiej racji stanu.

Od mieszkańców Domu Kultury w Maisons-Laffitte można się uczyć odwagi, konsekwencji w dążeniu do celu, który właściwie osiągnęli, nie mając praktycznie żadnych środków i ... niesłychanej pracowitości. Ich wysiłki zostały też docenione przez UNESCO, które w 2009 roku wpisało archiwum Instytutu Literackiego na Listę Pamięci Świata.

W archiwum znajduje się jeszcze sporo ciekawych i nieopracowanych dokumentów, a zachowana korespondencja – blisko 200 tys. listów do Redakcji i kopii odpowiedzi – to bogate źródło nie tylko wiedzy na temat najważniejszych wydarzeń zarówno politycznych, jak i kulturalnych powojennej historii Polski, lecz również życia codziennego. Archiwum jest bowiem nie tylko zbiorem materiałów dokumentujących szeroką działalność Instytutu Literackiego, nie tylko działalność wydawniczą, lecz również zbiorem dokumentów osobistych mieszkańców domu. Zgodnie z wolą Jerzego Giedroycia Dom Kultury nie jest muzeum, ale miejscem pracy, odwiedzają go więc naukowcy, dziennikarze, badacze, szczególnie bliscy są nam studenci i uczniowie, ale każdy może go odwiedzić po wcześniejszym umówieniu się.

Zapraszamy również do odwiedzenia nas na stronie: www.kulturaparyska.com.

**Rozmawiała
Katarzyna Krzykowska**



Jerzy Giedroyc w swoim gabinecie, Maisons-Laffitte, 1958 r. BOGDAN PACZOWSKI / INSTYTUT LITERACKI KULTURA



FOT. EAST NEWS

TEKST | Norbert Nowotnik

Mit rozliczeń, czyli niemiecka porażka wymiaru sprawiedliwości

Niemieckie rozliczenia ze zbrodniami II wojny światowej to proces pełen sprzeczności. Choć Niemcy zyskały podziw świata za swoją „kulturę pamięci”, to najnowsza książka Tobiasa Bucka „Ostatni proces” wskazuje na historyczną porażkę zachodnionieemieckiego wymiaru sprawiedliwości, który przez dziesięciolecia pozwalał tysiącom sprawców uniknąć odpowiedzialności. Dla Polski, na której terytorium Niemcy dokonali ogromnej części swoich zbrodni, to nie tylko porażka sprawiedliwości, ale też lata braku realnego zadośćuczynienia za terror okupacji.

Przez znaczną część okresu powojennego nazistowscy przestępcy musieli się bać zwykłych złodziei bardziej niż prokuratorów i sędziów. Historycy oceniają, że swój udział w Zagładzie miało nawet ćwierć miliona Niemców. Część największych zbrodniarzy osądziły alianckie sądy

w latach 1945–1949, szczególnie w procesach norymberskich. Innych przekazano państwowemu wymiarowi sprawiedliwości w Europie Wschodniej, wśród nich Rudolfa Hössa, komendanta Auschwitz, który został skazany i powieszony w Polsce w 1947 roku – stwierdził Buck – związany z „The Financial Times” dziennikarz,

który w „Ostatnim procesie” główną osią narracji uczynił proces byłego strażnika obozu Stutthof, Bruno Deya. Autor wykorzystał tę sprawę nie tylko jako rekonstrukcję konkretnego postępowania sądowego, lecz także jako punkt wyjścia do refleksji nad długotrwałymi zaniedbaniami wymiaru

sprawiedliwości po II wojnie światowej. Książka, która pod koniec stycznia ukazała się nakładem Wydawnictwa Czarne w polskich księgarniach, stawia również fundamentalne pytania o odpowiedzialność jednostki, odwagę cywilną i uniwersalny wymiar zła.

Porażka rozliczeń nie da się jej sprowadzić do jednej przyczyny ani jednego zaniedbania. Według Bucka był to splot czynników prawnych i praktycznych, w którym równie istotną rolę odgrywały konstrukcje doktrynalne, jak i polityczna niechęć do otwierania starych ran oraz społeczny opór wobec rozliczeń. – *Wymierzenie sprawiedliwości udaremniały niemiecka amnezja i amerykańska Realpolitik,*



Oskarżony Josef Klehr podczas procesu oświęcimskiego we Frankfurcie, 20 grudnia 1963 r. FOT. EAST NEWS

a także nieujęte w słowa porozumienie niemieckich przywódców, by odkreślić przeszłość i ruszyć dalej – podkreślił. Co ciekawe, porażka ta kontrastuje z podziwianym przez wielu niemieckim podejściem do pamięci historycznej. Przez dekady Niemcy wypracowały bowiem język i kulturę mierzenia się z przeszłością, opartą na przyjęciu odpowiedzialności za zbrodnie lat 1933–1945 i trwałym zobowiązaniu do podtrzymywania pamięci o Zagładzie oraz własnej winie za śmierć sześciu milionów Żydów. Wciąż w Niemczech kwestionowanie odpowiedzialności za dawne zbrodnie oznacza wyrzucenie na margines społeczeństwa.

Statystyki bezkarności

Skala systemowej niewydolności sądów jest uderzająca. Według analiz Bucka, po 1945 roku zachodni Niemcy prokuratorzy podjęli śledztwa przeciwko 170 tysiącom podejrzanych, ale tylko 6700 osób uznano za winne i skazano. Z ok. 6000 esesmanów, którzy służyli w obozie Auschwitz i przeżyli wojnę, niemieccy sędziowie skazali zaledwie pięćdziesięciu. Ponadto większość wyroków miała symboliczny charakter – były to niskie kary więzienia lub grzywny. W praktyce oznaczało to, że zbrodnie popełnione w obozach zagłady i miejscach masowych egzekucji na okupowanych ziemiach polskich przez de-

Przez dekady Niemcy wypracowały język i kulturę mierzenia się z przeszłością, opartą na przyjęciu odpowiedzialności za zbrodnie lat 1933–1945

kady pozostawały w RFN w ogromnej mierze bez wyroków, mimo że ich skala i lokalizacja były bezsporne.

Np. w 1949 roku, zachodni Niemcy prokuratorzy skierowali do sądów 3975 aktów oskarżenia w sprawach zbrodni nazistowskich, z czego zapadły 1474 wyroki skazujące. Już pięć lat później liczba aktów oskarżenia spadła do zaledwie 49, a w 1984 roku przed sądem stanął tylko jeden oskarżony – bez żadnego skazania. W kolejnych dwudziestu latach – gdy tysiące potencjalnych podejrzanych wciąż miały zaledwie sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt lat – doszło łącznie do 33 procesów i 18 wyroków. – *Ten marny wynik można uważać za jeszcze większe niepowodzenie niż niechęć*

do ścigania nazistowskich zbrodniarzy we wczesnych latach Republiki Federalnej: niemiecka demokracja od dawna była niezagrożona, a ryzyko, że energiczniejsze działania sądownictwa podważą polityczną stabilność – znikome – komentuje Buck.

Prawne „furtki” do unikania kary

Niemieckie sądy po wojnie wypracowały linie orzecznicze, które w praktyce znacząco ograniczały zakres odpowiedzialności karnej oskarżonych. Kluczowe znaczenie miało rozróżnienie między „sprawcą” a „pomocnikiem”, przy czym status sprawcy rezerwowano niemal wyłącznie dla ścisłego kierownictwa III Rzeszy – Adolfa Hitlera, Heinricha Himmlera i najwyższych funkcjonariuszy NSDAP. Pozostali, w tym osoby faktycznie uczestniczące w zabijaniu, byli często uznawani za wykonawców cudzej woli, pozbawionych samodzielnej decyzji i „zamiaru sprawczego”. – *Na podstawowym poziomie to rozróżnienie jest intuicyjne i często całkiem oczywiste: sprawca popełnia przestępstwo, natomiast współsprawca go wspiera, dostarczając informacji lub broni albo na przykład pomagając po fakcie sprzedać skradzione dobra. Sprawca jest postacią centralną, współsprawca pozostaje na marginesie. Ten drugi najczęściej otrzymuje znacznie lżejszy wyrok. Jednakże w niemieckich procesach dotyczących Zagłady to konieczne i logiczne rozróżnienie między sprawcą a współsprawcą zostało naciągnięte do granic możliwości – czytamy w książce.*

Taka interpretacja pozwalała niemieckim sądom traktować masowe zbrodnie jak ciąg technicznych czynności podporządkowanych rozkazom, a nie rezultat świadomych wyborów jednostek. W efekcie odpowiedzialność za Zagładę została prawnie zawężona do wąskiej grupy decydentów, podczas gdy tysiące realnych spraw-

ców korzystały z konstrukcji pomocnictwa, która systemowo prowadziła do niskich wyroków lub całkowitej bezkarności. – *Zdecydowana większość powojennych wyroków skazujących w sprawach związanych z Zagładą dotyczyła pomocnictwa w morderstwie, a nie morderstwa jako takiego* – ocenił badacz. Podał też przykład Otto Bradfisch, dowódcy Einsatzgruppe B odpowiedzialnej za ponad 15 tysięcy mordów, który mimo osobistego udziału w egzekucjach został skazany jedynie za pomocnictwo na 10 lat więzienia. Taka kwalifikacja pozwoliła uniknąć dożywocia, choć ustalenia sądu nie pozostawiały wątpliwości co do jego roli i zaangażowania.

Dodatkowo niemiecki wymiar sprawiedliwości opierał się na rozwiązaniach dogmatycznych, które w praktyce sprzyjały sprawcom. Zgodnie z tzw. teorią subiektywną (*animus auctoris*), o uznaniu kogoś za sprawcę decydowało jego „wewnętrzne nastawienie”, a nie faktyczny udział w zbrodni. Wystarczało więc, by oskarżony przekonywał, że nie działał z własnej inicjatywy i nie był osobiście zainteresowany skutkiem, aby zakwalifikować go jedynie jako współdziałającego lub pomocnika, co automatycznie obniżało grożącą karę. Równolegle po 1960 roku – po przedawnieniu zabójstwa – możliwe było wyłącznie ściganie za morderstwo w rozumieniu paragrafu 211 kodeksu karnego, wymagającego udowodnienia szczególnych cech czynu, takich jak niskie pobudki, okrucieństwo czy podstępność. W realiach nazistowskiej maszyny zagłady kryteria te okazywały się trudne do wykazania wobec urzędników, funkcjonariuszy i strażników, którzy zabijali „bez emocji”, zgodnie z procedurą. W efekcie prawo karało przede wszystkim jednostkowy sadizm, a nie systemowe uczestnictwo w masowej zbrodni.

„Atomizacja” zbrodni, czyli frankfurcki proces oświęcimski

Auschwitz, symbol Zagłady, był miejscem masowych zbrodni popełnionych przez Niemców na terenie okupowanej Polski, jednak przez dekady niemieckie sądy nie potrafiły – lub nie chciały – przełożyć tej oczywistości na spójną odpowiedzialność karną. I tak sama służba w obozie koncentracyjnym nie była uznawana za pomocnictwo w ludobójstwie, jakby funkcjonowanie machin śmierci mogło odbywać się bez udziału tysięcy ludzi wykonujących codzienne zadania. Co ważne, z polskiej perspektywy oznaczało to, że zbrodnie popełnione na okupowanych ziemiach polskich były w niemieckich sądach redukowane do abstrakcyjnych konstrukcji prawnych, oderwanych od realiów miejsca, skali przemocy i doświadczenia ofiar.

W trakcie frankfurckiego procesu oświęcimskiego z lat 1963–1965 – jak przypomniał autor „Ostatniego procesu” – sędzia Hans Hofmeyer przyjął skrajnie formalistyczne podejście, „rozbijając” masowe morderstwo na pojedyncze, wyizolowane czyny. Oznaczało to, że prokuratorzy musieli wykazywać udział oskarżonych w konkretnych działaniach – jak podpisanie zamówienia na cyklon B – zamiast dowodzić odpowiedzialności za podtrzymywanie całego systemu Zagłady. W efekcie osoby pełniące kluczowe funkcje logistyczne, choćby kierowcy dowożący więźniów do komór gazowych, uchodziły za marginalnych wykonawców, podczas gdy nawet oficerowie SS otrzymywali stosunkowo niskie wyroki. – *Wyrok ogłoszony przez sędziego Hofmeyera 19 sierpnia 1965 roku zawierał błędy, które przez następne dziesięciolecia miały prześladować i pętać kampanię na rzecz postawienia przed sądem nazistowskich przestępców. Orzeczenia o winie we Frankfurcie przyczyniły się do umieszczenia Auschwitz w centrum*

moralnego i politycznego sumienia Niemiec. Stworzyły jednak także prawny precedens, który znacznie utrudnił, a potem właściwie uniemożliwił ściganie i skazywanie innych potencjalnych oskarżonych wpłątanych w Zagładę. Frankfurcki proces oświęcimski, pomyślany jako pierwszy strzał, okazał się raczej ostatnim dzwonkiem – napisał Buck.



Iwan Demianiuk podczas procesu w Jerozolimie w 1988 r. FOT. EAST NEWS

Mimo to – jak zauważył – frankfurcki proces oświęcimski był pierwszą poważną próbą niemieckiego sądu ukarania zbrodni popełnionych w Auschwitz, a zakończył się skazaniem 17 z 20 oskarżonych. Z całą pewnością proces ten stał się punktem zwrotnym w powojennym podejściu do Zagłady, zmuszając niemieckie społeczeństwo do konfrontacji z własnymi zbrodniami. Dla młodszych Niemców ujawnione fakty były wstrząsem, dla starszych – trudnym potwierdzeniem wiedzy, którą dotąd wypierano.

Amnestia, pragmatyzm i zbiorowe wyparcie

Innym kluczowym powodem fiaska powojennych rozliczeń była szybka reintegracja dawnych elit III Rzeszy w strukturach państwa zachodnioniemieckiego. Już w 1951 roku Bundestag przyjął ustawę umożliwiającą byłym członkom NSDAP powrót do służby publicznej, w tym do sądów i proku-



Willi Boger, były strażnik SS w obozie koncentracyjnym Auschwitz. Był wynalazcą tzw. huśtawki Bogera FOT. EAST NEWS

W powojennych Niemczech dominował bowiem nastrój, w którym miliony ludzi starały się usprawiedliwić swoje zachowanie, a nierzadko także własne zbrodnie z okresu rządów narodowosocjalistycznych. – *Dla wielu osób oznaczało to przyjęcie roli uwiedzionych – być może łatwowiernych, ale w sumie niewinnych, zbyt patriotycznych i zbyt naiwnych, by przejrzeć kłamstwa Hitlera. Tym osobistym mitom towarzyszył pogląd, że niektóre grupy – szczególnie oficerowie i żołnierze Wehrmachtu, ale także niemieccy urzędnicy, sędziowie i pra-*

niuka, wydany przez Sąd Krajowy w Monachium. Demianiuk, były strażnik obozu zagłady w Sobiborze, został skazany za pomocnictwo w zamordowaniu tysięcy ludzi, mimo że nie udowodniono mu udziału w konkretnym, jednostkowym zabójstwie. Sąd uznał, że sama służba w „fabryce śmierci” była integralną częścią mechanizmu eksterminacji i stanowiła realne wsparcie zbrodni.

Proces był uważnie śledzony także w Polsce, zarówno ze względu na miejsce popełnienia zbrodni, jak i jego przełomowe znaczenie dla dalszych rozliczeń nazistowskich sprawców. Dla polskiej opinii publicznej był to jednak przede wszystkim sygnał spóźniony: potwierdzenie tego, że przez dziesięciolecia niemieckie prawo nie potrafiło – lub nie chciało – nazwać udziału w funkcjonowaniu obozów zagłady zbrodnią samą w sobie, mimo że obozy te działały na ziemiach polskich i pochłonęły miliony ofiar. Orzeczenie w sprawie Demianiuka oznaczało jednak zasadniczą i zdecydowanie zbyt późną zmianę paradygmatu: po raz pierwszy niemiecki sąd przyjął, że w obozach takich jak Sobibór, Auschwitz czy Stutthof każdy strażnik – niezależnie od zakresu obowiązków – współuczestniczył w ludobójstwie. Dzięki temu możliwe stały się kolejne procesy, w których nie było już konieczne udowadnianie konkretnego zabójstwa popełnionego własnoręcznie przez oskarżonego, lecz wystarczyło wykazanie służby w systemie zagłady.

Podsumowując należy jeszcze raz podkreślić, że niemiecka „porażka rozliczeń” dotycząca zbrodni III Rzeszy nie była i nie jest wyłącznie problemem wewnętrznym Niemiec, lecz doświadczeniem państw i społeczeństw, które stały się miejscem popełnienia zbrodni – w tym przede wszystkim Polski, przez lata pozostawionej z pamięcią, choć bez koniecznych wyroków. ■



Ława sędziowska w sali plenarnej rady miejskiej we Frankfurcie, 20 grudnia 1963 r. podczas rozpoczęcia procesu 22 byłych strażników obozu koncentracyjnego Auschwitz FOT. EAST NEWS

ratur. W praktyce oznaczało to, że o nazistowskich zbrodniach często orzekali sędziowie obciążeni własną przeszłością, co sprzyjało zachowawczości i łagodnym wyrokom. Na ten proces nałożyła się zimnowojenna Realpolitik: Stany Zjednoczone coraz wyraźniej naciskały na redukcję kar i zamykanie spraw, uznając stabilne Niemcy Zachodnie za kluczowego sojusznika w rywalizacji ze Związkiem Sowieckim. Równolegle w społeczeństwie utrwał się mit „czystego Wehrmachtu” oraz narracja o Niemcach jako ofiarach historii – bombardowań, wypędzeń i wojennego chaosu.

wnicy – wypełniali jedynie swój obowiązek. Inaczej niż na przykład SS i Gestapo, ci lojalni służący systemu „pozostali czysti” – podał Buck. Przypomniawszy przy tym, że mit „czystego Wehrmachtu” utrzymywał się niemal do połowy lat 90., kiedy zakwestionowała go głośna wystawa ujawniająca zbrodnie niemieckiej armii i jej udział w Zagładzie.

Przełom: Sprawa Demianiuka i spóźnione nowe podejście

Przełom w niemieckim podejściu do rozliczeń przyniósł dopiero wyrok z 2011 roku w sprawie Iwana Demia-



Władza należy do ludu

Protesty przeciwko zmianie Konstytucji PRL

TEKST | Grzegorz Majchrzak

W 1975 roku ekipa Edwarda Gierka postanowiła dokonać zmian w peerelowskiej konstytucji, m.in. wprowadzić do niej zapis o kierowniczej roli Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, a także o nierozzerwalnym sojuszu ze Związkiem Radzieckim. Planowane zmiany spowodowały falę protestów, zarówno w kraju, jak i za granicą.

Najgłośniejszym głosem sprzeciwu w Polsce był List 59 (w rzeczywistości podpisany przez 66 osób, ale wskutek pomyłki na Zachód trafiła wersja z 59 podpisanymi), który 5 grudnia 1975 roku Edward Lipiński złożył w Kancelarii Sejmu PRL. Powszechnie zresztą uważa się też, że był on pierwszym tego rodzaju protestem. Tak jednak nie było.

Według ustaleń MSW do adresata, czyli marszałka Sejmu, dotarł on kilka dni później – 9 grudnia. Tymczasem – ponownie, jak wynika z danych MSW – w okresie od 1 do 8 grudnia tego

roku do Kancelarii Sejmu PRL miało trafić „18 petycji z odręcznymi podpisanymi 218” o jednobrzmiącej – zdecydowanie krótszej, niż List 59 – treści. Jego autorzy stwierdzali m.in.: *Podstawowe zasady demokracji ujęte w obowiązującej Konstytucji stanowią, iż władza należy do ludu i jest realizowana przez organy przedstawicielskie. Zgodnie z tym Władza Najwyższa należy do Sejmu, a nie do którejkolwiek partii w Nim reprezentowanych.* I dodawano, że wpisanie do Konstytucji PRL, że „kierowniczą siłą jest PZPR” łamałoby te „dotychczasowe demokratyczne zasady”, zaś

„Sejm przestałby być nadrzędną władzą PRL, a władza straciłaby charakter przedstawicielski”. W związku z tymi zastrzeżeniami jego sygnatariusze zwracali się do marszałka o odrzucenie wspomnianych poprawek.

Według ustaleń Służby Bezpieczeństwa 11 z 18 petycji nadano z terenu Warszawy, a pozostałe siedem z Łodzi, zaś jej „inspiratorami” były osoby znane SB „z podejmowania na przestrzeni ostatnich lat wrogich działań”. Osoby z różnych zresztą środowisk – od tzw. komandosów (m.in. Jan Litwiński), poprzez byłych członków nielegalnej organizacji „Ruch” (np. Ste-

fan Niesiołowski), po osoby działające w Klubie Inteligencji Katolickiej (m.in. Krzysztof Dybciak). Notabene – zdaniem esbeków – ta akcja petycyjna miała rzekomo wynikać z początkowego niepowodzenia zbierania podpisów pod Listem 59, rzekomo, bowiem pod koniec listopada 1975 roku większość osób, do których zwracano się w sprawie jego podpisania miała odmawiać.

List 59

Jednak akcja zbierania podpisów pod Listem 59 zakończyła się sukcesem. Jego autorzy stwierdzali, że Konstytucja powinna zagwarantować: wolność sumienia i praktyk religijnych, wolność pracy, wolność słowa i informacji, a także wolność nauki. I dodawali, że *zagwarantowanie tych podstawowych wolności nie da się pogodzić z przygotowywanym obecnie oficjalnym uznaniem kierowniczej roli jednej partii w systemie władzy państwowej. A także, że należy zapewnić realizację praw wszystkich obywateli do wysuwania i wybierania swych przedstawicieli w pięcioprzymiotnikowych wyborach. Należy zapewnić niezależność sądów od władz wykonawczych, a Sejm uczynić rzeczywiście najwyższą władzą ustawodawczą*. Listę sygnatariuszy otwierał Stefan Amsterdamski, a zamykał ks. Jan Zieja. Oprócz nich swoje podpisy złożyli m.in.: Stanisław Barańczak, Zbigniew Herbert, Stefan Kisielewski, Adam Michnik, Jan Olszewski, Antoni Pajdak czy Antoni Słonimski.

Zmiany „szkodliwe i sprzeczne z zasadami demokracji”

List 59 nie był pierwszym protestem przeciwko zmianom w peerelowskiej konstytucji, nie był też ostatnim. Było ich zdecydowanie więcej, zarówno grupowych, jak i indywidualnych. I tak np. 6 stycznia 1976 roku „znany z działalności opozycyjnej” Karol Głogowski wysłał list otwarty do I sekre-

tarza KC PZPR, w którym swój sprzeciw dla planowanych zmian uzasadniał tym, że – jak pisali esbecy – „dotychczasowa Konstytucja jest odbiciem specyfiki polskiej drogi do socjalizmu”. Ponadto argumentował, że umieszczenie w niej zapisu o kierowniczej roli partii byłoby „szkodliwe i sprzeczne z zasadami demokracji”, a także „doprowadziłoby do rozdziewków i dezintegracji społeczeństwa”. Gierek nie był jedyną osobą, do której Głogowski wysłał swój list. Przesłał go również do marszałka Sejmu PRL Stanisława Gucwy. Oprócz tego jego kopie skierował także do redakcji „Polityki” oraz Zrzeszenia Prawników Polskich.

Należy zapewnić niezależność sądów od władz wykonawczych, a Sejm uczynić rzeczywiście najwyższą władzą ustawodawczą

Z kolei 17 stycznia 1976 roku pismo do przewodniczącego Komisji Konstytucyjnej skierowali przedstawiciele środowisk katolickich, głównie Znak. Przypominali w nim, że konstytucja powinna utwierdzać suwerenność państwa, a także podmiotowość narodu. Ich zdaniem Konstytucja PRL z 22 lipca 1952 roku powinna zostać zmieniona, poprawiona, ale zmiany w niej nie mogą naruszać zasady równości obywateli, a jej złamaniem byłby właśnie zapis o kierowniczej roli PZPR. Opowiadali się jednocześnie za rozszerzeniem praw obywatelskich, a także zabezpieczeniem różnych dziedzin życia przed „arbitralnością decyzji różnych organów władzy” i wprowadzeniem konstytucyjnych zabezpieczeń wzmacniających prawo-

ządność oraz ochronę praw obywatelskich. Jego sygnatariuszami byli m.in. Bohdan Cywiński, Tadeusz Mazowiecki, Jerzy Turowicz i Jacek Woźniakowski. Drugi list – po upublicznieniu informacji, że w nowej konstytucji planowany jest również zapis o nienaruszalności więzi ze Związkiem Radzieckim – podpisała również część sygnatariuszy Listu 59. Powstał w dniu 14 stycznia 1975 roku. Jego inicjatorem był Olszewski, a początkowo sygnatariuszami: Pajdak, Stanisław Szczuka oraz Wojciech Ziemiński. Zwracali oni w nim m.in. uwagę, że *prawomocność traktatowych zobowiązań międzynarodowych PRL nie budzi wątpliwości. Jednakże przeniesienie postanowień traktatu sojuszniczego do ustawy konstytucyjnej i nadanie im rangi podstawowej zasady ustrojowej uznane jest powszechnie, jako ograniczenie suwerenności państwa*. I dodawali, że przyjęcie planowanej poprawki „sprowadzałoby PRL do roli państwa o formalnie ograniczonej suwerenności”. List ten podpisało w kolejnych dniach 14 osób, m.in.: Władysław Bartoszewski, Jacek Kuroń czy Jan Józef Lipski. 22 stycznia popisana przez nich kopia została wysłana do Sejmu PRL. Oprócz nich list ten podpisały dwie inne osoby – gen. Mieczysław Boruta-Spiechowicz oraz były wiceprezydent Warszawy, a w czasie okupacji – za zgodą władz Polskiego Państwa Podziemnego – jej komisaryczny burmistrz Julian Kulski. Ten pierwszy – pisząc do nadzwyczajnej komisji sejmowej – powoływał się na artykuł 6. Konstytucji PRL z 1952 roku („Siły zbrojne Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej stoją na straży suwerenności i niepodległości narodu polskiego, jego bezpieczeństwa i pokoju”) i wyrażał sprzeciw wobec *jednostronnych zmian Konstytucji, zmierzających do ograniczenia suwerenności narodu (...) pieczętowanej krwią żołnierzy Rzeczypospolitej od czasów wiekopomnej*

Konstytucji 3 Maja. Boruta-Spiechowicz kopie listu wysłał również do Prezesa Rady Ministrów, ministra obrony narodowej i klubów sejmowych.

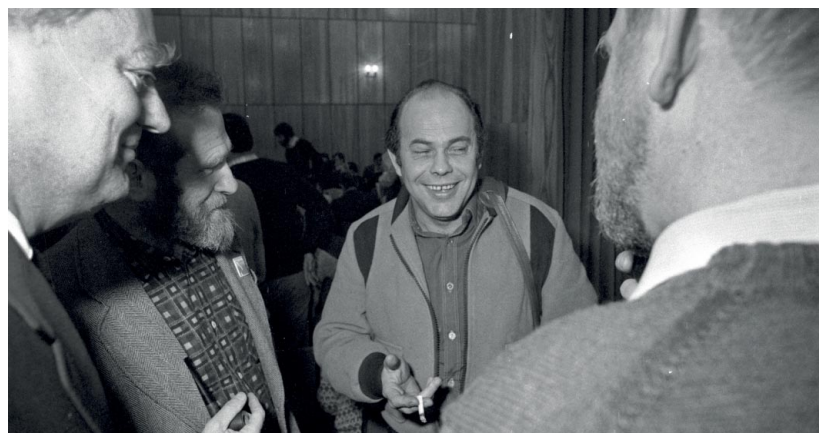
List 101

31 stycznia 1976 roku Jerzy Andrzejewski wysłał do Komisji Konstytucyjnej list 101. Według ustaleń Służby Bezpieczeństwa jego inicjatorami byli: Kazimierz Brandys, Jacek Bocheński oraz Wiktor Woroszyński. W gronie jego sygnatariuszy znaleźli się głównie ludzie kultury (artyści, naukowcy czy pisarze). Byli to m.in.: Marek Edelman, Mieczysław Jastrun, Zdzisław Najder, Aleksandra Ślaska, Stanisław Tym czy Wanda Wilkomirska. Tym razem skupili się oni na planowanym zapisie: „Prawa obywateli są nieodłącznie związane z rzetelnym i sumiennym wypełnianiem obowiązków wobec ojczyzny” stwierdzając, że egzekwowanie tych praw nie może być ograniczane spełnieniem specjalnych warunków. Jak dodawali przy tym „nie mogą np. zostać pozbawione praw obywatelskich osoby, których poglądy polityczne są niezgodne z poglądami partii”. I stwierdzali, że przyjęcie planowanego zapisu o kierowniczej roli Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej zostałoby odebrane, jako „decydujący krok w stronę zalegalizowanej totalizacji całego życia w kraju”, a także, jako „zagrożenie podstawowych wolności i praw obywatelskich”.

Takich listów protestacyjnych było zdecydowanie więcej. I tak np. Służba Bezpieczeństwa informowała o tzw. liście 55 „kwestionującym konstytucyjne potwierdzenie przynależności Polski do obozu socjalistycznego i nie naruszalności więzi z ZSRR” ze względu na ograniczanie w ten sposób suwerenności PRL czy tzw. list 25 zawierającym sprzeciw wobec „propozycji ograniczających (...) suwerenność i prawa obywatelskie”. Był również list 28 ludzi kultury z 5 lutego 1976 roku, list 92 studentów z Gdań-

ska i Lublina. Były także listy 21 i 51 z Łodzi. Negatywnie wobec planowanych zmian odniósł się również Episkopat Polski w dwóch memoriałach skierowanych do peerelowskich władz. O zastrzeżeniach Kościoła katolickiego wspominał też w swoich kazaniach Prymas Polski kardynał Stefan Wyszyński. Kościół katolicki wyrażał obawy, że planowane zapisy dot. kierowniczej roli PZPR oraz przynależności PRL do obozu socjalistycz-

cze większym stopniu, niż dotychczas. Zwracano się do polskich niepodległościowych ruchów i ośrodków politycznych na Zachodzie o podjęcie w tej sprawie „intensywnej akcji informacyjnej i politycznej”, a do „polskiego organizowanego życia społecznego w wolnym świecie” o poparcie tej akcji poprzez oddziaływanie na opinię publiczną w krajach, w których „znajdują się skupiska polonijne”. Często były również przypadki wsparcia polskich



Od lewej: Jan Olszewski, Bronisław Geremek i Jacek Kuroń FOT. PAP

nego mogą doprowadzić do ograniczenia suwerenności narodu i państwa polskiego, a także doprowadzić do dominacji w kraju jednego światopoglądu.

Emigracja mówi nie umocnieniu dyktatury w PRL

Planowane zmiany w peerelowskiej konstytucji spowodowały reakcje nie tylko w kraju, ale również za granicą. W tym ostatnim przypadku oczywiście polskiej emigracji. I tak np. Federacja Ruchów Demokratycznych, a dokładniej jej Wydział Wykonawczy wydał 5 stycznia 1976 roku oświadczenie w sprawie zamierzeń Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej „konstytucyjnego usankcjonowania jej nadrzędnej roli w Polsce oraz nadrzędnej roli ZSRR nad Polską”. Potępiano w nim *akcję PZPR zmierzającą (...) do wzmocnienia i uprawomocnienia systemu dyktatorskiego w Polsce oraz uzależnienia jej od ZSRR* w jesz-

protestów przeciwko zmianom w peerelowskiej konstytucji, zwłaszcza Listu 59.

Poparcia udzielił mu m.in. Kongres Polonii Amerykańskiej. – *Potępiamy reżim komunistyczny, który wbrew zobowiązaniom przyjętym w końcowej deklaracji Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy Europejskiej oraz Deklaracji Praw Człowieka Organizacji Narodów Zjednoczonych, odmawia Polakom podstawowych praw ludzkich i swobód obywatelskich* – stwierdził kongres w specjalnej rezolucji. Ponadto prezes KPA Alojzy Mazewski zwrócił się – w imieniu kierowanej przez siebie organizacji – do prezydenta USA Geralda Forda o „poparcie dla sprawy reprezentowanej przez intelektualistów polskich i o zbadanie, w jakim stopniu rząd amerykański mógłby dać owemu poparciu wyraz”. Deklarację solidarnościową z Listem



Potępiamy reżim komunistyczny, który wbrew zobowiązaniom (...) odmawia Polakom podstawowych praw ludzkich i swobód obywatelskich

59 w styczniu 1976 roku podpisało również grono kilkudziesięciu (niepełna 80) członków Polskiego Związku Pisarzy na Obczyźnie, zrzeszającego literatów zamieszkałych w Anglii, Francji, Włoszech, Portugalii, Hiszpanii, Republice Federalnej Niemiec i Stanach Zjednoczonych. Wśród nich znaleźli się m.in. Lidia Ciołkosz, Gustaw Herling-Grudziński czy Leopold Tyrmand. Wyrażali oni „pełną solidarność z tym wystąpieniem”. W tym samym czasie poparcia Listowi 59 udzieliło także – na zebraniu w Londynie – Zrzeszenie Studentów i Absolwentów Polskich.

Polska emigracja organizowała również demonstracje, np. na początku lutego 1976 roku w Londynie. W jej trakcie przeczytano m.in. oświadczenie emigracyjnego pisarza i jednego z sygnatariuszy wspomnianej deklaracji solidarnościowej Włodzimierza Odojewskiego, który wyrażał „uznanie dla determinacji i odwagi sygnatariuszy memoriału 59-ciu”.

Podczas głosowania projektu nowej konstytucji nikt nie zagłosował przeciw. Wyjątkiem był należący do Koła „Znak” Stanisław Stomma, który wstrzymał się od głosu FOT. PAP

tariuszy memoriału 59-ciu”. Z kolei Związek Artystów Scen Polskich Zagranicą w specjalnej uchwale stwierdzał m.in., że „łączy się w pełni” z kolegami w kraju w proteście przeciwko zmianom w konstytucji „ograniczającym wolności obywatelskie i suwerenność kraju”. Publiczny protest przeciwko zmianom w peerelowskiej konstytucji ogłosiła także działająca w Wielkiej Brytanii Komisja Porozumiewawcza Polskich Niepodległościowych Organizacji Kobietych, stwierdzając, że *mają one na celu zacieśnienie dyktatury monopartii oraz usankcjonowanie doktryny Breżniewa o ograniczonej suwerenności państw socjalistycznych*.

Może niepełen sukces, ale na pewno nie porażka

Do głosowania projektu nowej konstytucji doszło w Sejmie PRL 10 lutego 1976 roku – nikt nie zagłosował przeciw, wstrzymał się – co stało się zresztą głośne, szczególnie na Zachodzie – jeden poseł (Stanisław Stomma, przewodniczący Koła Poselskiego „Znak”, którego zresztą ten symboliczny gest

kosztował mandat poselski). Z pozoru wszystkie wspomniane protesty niewiele dały, ponieważ ostateczna wersja zmian w ustawie zasadniczej uwzględniała tylko niektóre obiekcje protestujących, głównie Kościoła.

Protesty te miały jednak fundamentalne znaczenie dla tworzenia się w kolejnych latach opozycji. Tym bardziej, że pisaniu listów towarzyszyła akcja zbierania podpisów pod nimi. I tak np. pod wspomnianymi petycjami, które początkowo sygnowało 218 osób ostatecznie miało się podpisać ponad 300, a według niektórych nawet 600 osób. Na dodatek niektóre z tych listów, które trafiły na Zachód, gdzie były nagłaśniane w mediach (m.in. przez Radia Wolna Europa) i w ten sposób informacja o nich (mimo blokady w peerelowskich mediach, które pisały o listach, ale poparcia dla zmian w konstytucji) wracała do słuchaczy w Polsce. Nie sposób zresztą w tym miejscu nie przypomnieć, że część opozycjonistów uznała akcję protestów za swój sukces. I tak np. według ustaleń funkcjonariuszy SB Kuroń i Michnik mieli stwierdzić „na całej linii wygraliśmy sprawę”, gdyż wysłanie do władz „tytu listów jednocześnie” było wydarzeniem bezprecedensowym. Notabene sami mieli być wręcz zaskoczeni „nie tylko ich ilością, ale zakresem i pokoleniowością”. Z kolei Lityński miał powiedzieć, że „władze w zasadzie wycofały się z pierwotnych planów zmiany konstytucji”, zaś wprowadzone poprawki mają „kompromisowy charakter”. A to z kolei było jego zdaniem „dowodem na możliwość oddziaływania opinii publicznej na władze”. Tak na marginesie uchwalenie przez Sejm zmian w Konstytucji PRL powstrzymało kolejne przygotowane listy i petycje, np. w sprawie referendum w tej kwestii. ■

dr Grzegorz Majchrzak jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN



TEKST | Waldemar Kowalski

Ostatnie chwile „Anody”



Bohater Szarych Szeregów, żołnierz Armii Krajowej, Powstaniec Warszawski, symbol niezłomnego pokolenia Kolumbów. Przez całą okupację skutecznie wymykał się Niemcom. Gdy wpadł w sidła bezpieki, wykończono go błyskawicznie...

Jan Rodowicz „Anoda” zginął tragicznie 7 stycznia 1949 roku w Warszawie. Pięć dni później jego ciało w tajemnicy pochowano na Starych Powązkach.

Po prawie dwóch miesiącach rodzina otrzymała urzędowe pismo tej treści: „Zawiadamiam, że syn obywatela Jan Rodowicz, zatrzymany pod zarzutem popełnienia przestępstwa z art. 86 KKWP, w dniu 7 stycznia 1949 roku popełnił samobójstwo, wyskakując z okna podczas przeprowadzania go do aresztu”.

Kartka papieru, lakoniczny zapis. Tyle wystarczyło komunistom, aby „zamknąć sprawę”. Nie skończyło to jednak domysłów i spekulacji, które – także dziś – rzucają się cieniem na śmierć niespełna 26-letniego bohatera.

Przyszli po niego w Wigilię

– *Był przykładem tego, jak trzeba żyć. I w czasach spokojnych, i w czasach nienormalnych* – charakteryzował „Anodę” kolega z Batalionu AK „Zośka”, Henryk Kończykowski „Halicz”. Dla komunistów Rodowicz nie był jed-

nak ani autorytetem, ani bohaterem. Cóż z tego, że po wojnie uczestnik słynnej Akcji pod Arsenałem próbował wrócić do normalnego życia. Wyszedł z podziemia, zaczął studia na Politechnice Warszawskiej. Jego wojenny życiorys w „ludowej” ojczyźnie mógł być tylko obciążeniem.

Na pozór normalne życie „Anody” brutalnie przerwano w najmniej spodziewanym momencie – w Wigilię Bożego Narodzenia 1948 roku. Gdy wprowadzano go z rodzinnego domu przy ul. Lwowskiej w Warszawie, zdą-

żył jeszcze pożegnać się z matką, która wsunęła synowi do kieszeni kawałek opłatka...

Ubecy przewieźli „bandytę” do siedziby Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego przy ul. Koszykowej w Warszawie. Osadzili go w piwnicach niesławnego gmachu. Dwa tygodnie później legendarny „Zośkowiec” już nie żył. Według oficjalnej wersji komunistycznych władz – powtarzanej przez propagandę jako fakt niepodlegający dyskusji – Rodowicz sam odebrał sobie życie, wyskakując z okna przy wykorzystaniu chwili nieuwagi oficera śledczego.

Szanse na przeżycie upadku z czwartego piętra były iluzoryczne. – *Przesłuchiwany uderzył w betonowy chodnik, wskutek czego* – zapisano w dokumentacji lekarskiej – *nastąpił krwotok z tętnicy głównej.*

W tej historii – mimo upływu 77 lat – nic nie jest pewne i oczywiste.

Szok, łzy i niedowierzanie

Początek feralnego dnia nie zapowiadał tragedii. Wydawało się, że – tak jak za poprzednimi razami – Rodowicz doprowadzony przez strażników do pokoju przesłuchań, wróci po jakimś czasie do swojej celi. Jako ostatni żywego „Anodę” widział por. Bronisław Kleina z Wydziału IV Departamentu V MBP, zajmującego się bezwzględnym tropieniem tzw. wrogów ludu.

Oficer pytał osadzonego o byłych współtowarzyszy broni, żołnierzy Batalionu AK „Zośka”. – *Jan Rodowicz zachowywał się spokojnie, odpowiadał na pytania „tak” lub „nie” – nie rozwijał odpowiedzi, był zamknięty w sobie* – zapamiętał Kleina. Nagle „podejrzany wyskoczył oknem i zabił się” – czytamy w raporcie sporządzonym zaraz po tragedii.

Dopiero w 1992 roku, w ramach śledztwa Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, oficer UB przywołał bardziej

szczegółowy opis ostatnich chwil życia bohatera podziemia.

Jak wyjaśniał, do tragedii – przedstawianej jako desperacki krok Rodowicza – doszło w momencie, kiedy Kleinie polecono doprowadzić przesłuchiwanego do gabinetu naczelnika – mjr. Wiktora Herera. Pokój znajdował się po przeciwnej stronie korytarza. Okna z gabinetu wychodziły na Aleje Ujazdowskie.

– *Kiedy otworzyłem drzwi, powiedziano mi „jeszcze chwileczkę, przejdź do następnego pokoju, drzwi są otwarte i nikogo w pokoju nie ma”. Otworzyłem drzwi i wszedłem pierwszy do pokoju. Jan Rodowicz wszedł za mną i biegiem wskoczył na parapet*

Na pozór normalne życie „Anody” brutalnie przerwano w najmniej spodziewanym momencie – w Wigilię Bożego Narodzenia 1948 roku

otwartego okna i wyskoczył. Okno było dwuskrzydłowe, otwarte było na oścież. Do okna nie podchodziłem, ponieważ zdawałem sobie sprawę, że na pewno poniosł śmierć. Zawiadomiłem sekretariat o tym samobójstwie – zeznał Kleina.

– *Tragedią tą byłem wstrząśnięty, dygotałem, nie mogłem się uspokoić. Naczelnik i koledzy uspokojały mnie. Zadawałem sobie pytanie, dlaczego Rodowicz to zrobił. Odpowiedzi jednak nie znalazłem. Natychmiast wezwano lekarza, ponieważ w Ministerstwie mieściła się Poliklinika. Lekarz stwierdził zgon w chwilę po wypadku. Nie wiem, czy była przeprowadzona sekcja zwłok. Jana Rodowicza nie mogłem powstrzymać, ponieważ zrobił to w błyskawicznym tempie, prze-*

leciał koło mnie jak wicher – relacjonował.

Co więcej, były oficer zbrodniczej UB zarzekał się po latach, przysięgając „na wszystkie świętości i swoje dzieci”, że nijak nie przyczynił się do śmierci „Anody”. – *Pobudek jego desperackiego kroku nie znam. Nie widziałem u niego żadnych śladów pobicia, nie skarżył się na niewłaściwe traktowanie* – podkreślił Kleina... zalewając się łzami.

Mało tego, jeszcze tego samego dnia odbył ponoć rozmowę z przełożonym, z której rzekomo wynikało, że jest podejrzewany o udział w „spisku”, czyli ułatwienie „Anodzie” popełnienia samobójstwa. Konsekwencją tego miała być kara w postaci aresztu domowego.

Kat, który „polubił” ofiarę

Major Herer, wspomniany szef Kleiny, wcześniej także przesłuchiwał byłego żołnierza „Zośki”. Jak na ironię wypowiadał się o nim... pozytywnie.

– *Na pytania zadawane odpowiadał chętnie, nie unikał odpowiedzi. Nie pamiętam, czy obciążał swoich kolegów. Wymieniał nazwiska osób, z którymi się spotykał. Nigdy nie mówił o przygotowaniu do konkretnej działalności zbrojnej, wymieniając rozmaite nazwiska, których dzisiaj nie pamiętam; nie dzielił ludzi na takich, którzy gotowi byli do podziemnej działalności, od takich, którzy mieli postawę pasywną, także wobec przyszości* – zeznał oprawca w 1992 roku, kreśląc zupełnie zniekształcony obraz bohatera, rzekomo ochotczo odsłaniającego kulisy swej podziemnej działalności.

Choć takich jak „Anoda” komunistyczna propaganda przedstawiała jako groźnych bandytów i terrorystów, Herer nie krył sympatii do przesłuchiwanego. Miało to jakoby wynikać także z faktu – co oficer bezpieki przypomniał z nieskrywaną dumą – że obu ich łączyła działalność w konspiracji!

W rzeczywistości funkcjonariusz UB, zanim otrzymał angaż w resorcie bezpieczeństwa, był m.in. instruktorem propagandy w „ludowym” Wojsku Polskim i z walką o niepodległość nie miał nic wspólnego. W 1946 roku jego przełożona, sama Julia Brystygier, wystawiła mu taką „laurkę”: *Samodzielny, bardzo zdolny, posiada dobrą orientację, spryt i łatwość werbowania agentury. Myśli kategoriami kierownika swoim odcinkiem pracy w skali krajowej. Reaguje natychmiast na wszelkie fakty i zachodzące zjawiska w terenie. Daje WUBP jasne, konkretne wskazówki we wszystkich bieżących sprawach. W stosunku do swych pracowników jest wymagający, ale wskazuje dostateczną cierpliwość, by uczyć ich pracy i podciągać. Moralnie stoi na wysokim poziomie. Za dobrą pracę otrzymał premię pieniężną.*

Egzekucja z zimną krwią?

Czy zeznania obu śledczych to próba odwrócenia uwagi, swoista „zasłona dymna”? Nie można tego wykluczyć. Jeśli przyjmiemy taką ewentualność, należy rozpatrzyć hipotezę, że komuniści upozorowali samobójstwo, a „Anoda” został uśmiercony już w pokoju przesłuchań.

Co oczywiste, Herer kategorycznie zaprzeczał, jakoby „Anoda” był dręczony psychicznie. Rzekomo nie stosowano wobec niego przymusu fizycznego i innych form nadmiernie długich przesłuchań.

– Jan Rodowicz, będąc w pełni sił fizycznych i umysłowych, wyskoczył przez okno czwartego piętra na dziedziniec widoczny bardzo dokładnie z Al. Ujazdowskich. Okno, z którego wyskoczył, też było widoczne z alej, także ewentualny krzyk z tego okna byłby doskonale słyszalny na Al. Ujazdowskich – tłumaczył oficer UB. Jak dodawał, Rodowicz był silnym mężczyzną i nikt nie byłby w stanie wyrzucić go przez okno. – *Wykluczam*

także obecność drugiej osoby, jak by mu mogła pomóc w defenestracji Rodowicza – kategorycznie oznajmiał naczelnik wydziału.

Problem w tym, że wiele elementów tej „układanki” po dziś dzień budzi wątpliwości. Znajomość metod „pracy” katów z UB, doskonale znających się na swym fachu i stosujących wyrafinowane sposoby znęcania się nad więźniami, stawia oficjalną wersję wydarzeń z 7 stycznia 1949 roku pod sporym znakiem zapytania.

Jedna z hipotez głosi, że Rodowicz został zastrzelony. Były żołnierz AK Bogusław Bosiacki – ponoć przesłuchiwany w sąsiednim pokoju – twierdził po latach, że w pewnym momencie usłyszał strzały, po czym na korytarz miał wybiec sam śledczy Kleina, rzekomo przyznając, że właśnie zabił „Anodę”. Relacja ta nie została jednak potwierdzona innymi źródłami.

Warto natomiast bliżej przyjrzeć się świadectwom rodziny bohatera. Anna Rodowicz, lekarka i krewna „Anody”, która widziała jego zwłoki przed drugim pogrzebem na Powązkach (marzec 1949 roku), zapamiętała coś niepokojącego: na ciele nie było urazów typowych dla upadku z wysokości (złamania kości kończyn, czaszki, urazy wewnętrzne). Jej uwagę zwrócił natomiast ślad za uchem, który mógł wskazywać na postrzał w tył głowy. Późniejsze badania szczątków, przeprowadzone już w latach 90., nie potwierdziły jednoznacznie tej wersji – analizom poddano wówczas jednak niekompletny szkielet, co znacząco ograniczało możliwości oceny.

Jest jeszcze jeden trop, który sugeruje, że „Anoda” zginął od kuli. To relacja Leonardy Rodowicz, w latach 60. pracownicy Centralnego Archiwum MSW, która podczas jednej z kwerend miała natrafić na teczkę osobową bohatera. Znajdowała się w niej rzekomo informacja o zastrzeleniu Rodowicza w trakcie próby ucieczki.

Świadectwo to jednak nie sposób zwerifikować, skoro po teczce nie pozostał żaden ślad...

Wersja o zastrzeleniu przesłuchiwanego jest zatem trudna do obrony. Gdyby faktycznie doszło do egzekucji w ten sposób, wyrzucenie ciała przez okno – a był to dowód popełnionej zbrodni – kłóciłoby się z logiką postępowania z punktu widzenia sprawców.



Jan Rodowicz „Anoda” z kolegami w Zakopanem zimą 1945–1946. Włodzimierz Steyer „Grom” niesie Stanisława Leśniowicza „Czarta”, Stanisław Sieradzki „Świsł” (w długim płaszczu) – „Anodę” FOT. AIPN

Janka zamęczono

Bardziej prawdopodobne jest to, że przed śmiercią „Anoda” był torturowany, choć – jak zapewniali choćby cytowani wcześniej funkcjonariusze MBP – wszystkie rozmowy w pokojach przesłuchań miały się odbywać w „przyjaznej” atmosferze. Jak pokrótce wyjaśniał po latach Herer, gmach przy ul. Koszykowej... nie był przystosowany do stosowania przemocy wobec oskarżonych.

Tymczasem ojciec Rodowicza miał usłyszeć od dr. Konrada Okolskiego, dyrektora warszawskiego Szpitala

Dzieciątka Jezus, że potajemna sekcja zwłok „Anody” wykazała obrażenia świadczące o ciężkim pobiciu: „Janka zamęczono, miał wgniecioną klatkę piersiową”.

Według tej relacji, prof. Wiktor Grzywo-Dąbrowski, wybitny medyk sądowy, odmówił podpisania oficjalnego protokołu sekcji i nocą, bez wiedzy bezpieki, dokonał własnych og-



lędzin ciała. Później jednak – pytany o sprawę – zasłaniał się nie pamięcią. Czyżby milczał ze strachu? Czy prawda była zbyt niebezpieczna?

Jeśli przyjmiemy, że Rodowicz był podczas ostatniego przesłuchania katowany z powodu „niewystarczającej chęci współpracy” (wiadomo, że nie chciał zdradzić płk. Jana Mazurkiewicza „Radosława”), to należałoby ustalić, czy oprawcy torturowali go ze świadomością pozbawienia go życia? Wiadomo, że były AK-owiec był bardzo ważnym ogniwem w śledztwie przeciwko „Zośkowcom”. Za uśmiercenie podejrzanego posiadającego rozległą wiedzę i kontakty, i to na kluczowym etapie śledztwa, mogły grozić surowe kary. Czy komunistyczni

oprawcy, wiedząc o tym, ryzykowaliby swoje kariery?

Śmierć „Anody” mogła zatem nastąpić wskutek brutalnego przesłuchania i być wynikiem nieumyślnego pobicia ze skutkiem śmiertelnym.

Tuszowali zbrodnię?

Jeśli przyjmiemy wersję mówiącą o odpowiedzialności funkcjonariuszy UB, możemy pokusić się o odtworzenie następujących po sobie sekwencji wydarzeń. Idąc tym tokiem rozumowania, sprawcom zbrodni zależało na upozorowaniu samobójstwa przesłuchiwanego, aby zatuszować sprawę przed przełożonymi. Było to działanie w pośpiechu, pod wpływem silnych

Wybitny medyk sądowy, odmówił podpisania oficjalnego protokołu sekcji i nocą, bez wiedzy bezpieki, dokonał własnych oględzin ciała

emocji. Tym można tłumaczyć wynikające z ignorancji przekonanie, że sekcja zwłok nie wykaże obrażeń zadanych podczas przesłuchania, a potwierdzi jedynie to, co było skutkiem upadku z dużej wysokości. Wszystko to mogło być oparte także na – skądinąd naiwnej – wierze, że rodzina zmarłego niczego się nie domyśli...

Niewykluczone również, iż to osoby bezpośrednio uwikłane w śmierć Rodowicza spreparowały dokument z sekcji zwłok. W relacjach jest mowa o dwóch datach jej przeprowadzenia (7 i 8 stycznia), co mogłoby wskazywać, że pierwotnie istniały różne wersje raportów medycznych. Idąc dalej, można hipotetycznie założyć, że lekarz, który jako pierwszy oglądał cia-

ło „Anody”, odmówił potwierdzenia wersji o samobójstwie.

Zagadkę śmierci bohatera „Zośki” próbowano też wyjaśnić podjęciem przez przesłuchiwanego, przeczuwającego swój nieuchronny koniec – wyrok śmierci był raczej tylko kwestią czasu – próby ucieczki przez okno. Według mało prawdopodobnej wersji, „Anodzie” udało się przeżyć skok z okna, jednak odniósł kontuzję ręki, co rzekomo uniemożliwiło mu ucieczkę. Wątpliwe jednak, aby wymęczony śledztwem bohater, uznany w 1945 roku przez komisję lekarską za inwalidę z ponad 80 proc. ubytkiem zdrowia, był zdolny do takiego wysiłku.

Jeszcze inna próba wytłumaczenia wydarzeń sprzed 77 lat, której nie należy kategorycznie odrzucać, mówi o podjęciu decyzji o samobójczym skoku wskutek działań śledczych (naciski, groźby, tortury) w pokoju przesłuchań. Wskutek niepomysłnego dla siebie obrotu spraw, uczestnik Akcji pod Arsenalem miałby wykorzystać nieuwagę funkcjonariuszy i wyskoczyć z gmachu MBP. Czyżby chciał w ten sposób uniknąć zagrożeń wynikających z zaostrzenia środków w śledztwie? Może przeczuwał, że oprawcy z UB nie cofną się przed niczym, aby wydobyć „zadowalające” ich zeznania? Przesłuchiwany mógł w porę rozpoznać intencje sprawców, mając jednocześnie świadomość wielkiej wagi składanych zeznań. Tylko żywy „Anoda” mógł skierować śledztwo na nowe tory...

* * *

Prawdę o wydarzeniach z 7 stycznia 1949 roku Jan Rodowicz i jedyny – jeśli wierzyć powszechnie przyjętej wersji wydarzeń – świadek jego śmierci, zabrali do grobów. Nie potrzeba jednak znajomości wszystkich okoliczności tego dramatu, aby stwierdzić, że doprowadziły do niego zbrodnicze działania komunistycznego reżimu. ■

Szpicel i jego ofiara

Jak w II RP próbowano rozliczyć tajnych współpracowników policji politycznej z okresu zaborów

TEKST | Przemysław Maksymiuk



Po przełomie roku 1989 opinię publiczną przez wiele lat rozgrzewał spór o sposób rozliczenia z przeszłością, w szczególności z tajnymi współpracownikami policji politycznej. Podobne spory toczono po odzyskaniu niepodległości w roku 1918.

Dobrym przykładem ukazującym jakim wyzwaniem dla odrodzonej Polski było rozliczenie się z agentami działającymi na rzecz zaborców jest przypadek konfidenta carskiej Ochrazy Michała Wolgemuta. Na skutek jego zdrady skazano na śmierć kilkadziesiąt osób, innych zesłano na dożywotnią katorgę. Kilka osób Rosjanie zamęczyli podczas śledztwa. Wyroki wykonano na stokach Cytadeli Warszawskiej w roku 1908.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości sprawa prowokatora Wolgemuta nie poszła w zapomnienie. W okresie międzywojennym pisali o nim popularni publicyści m.in. Sta-

niśław Radek – dziennikarz, senator, b. członek Organizacji Bojowej Polskiej Partii Socjalistycznej czy Leon Berenson – publicysta, adwokat, obrońca w procesach politycznych.

Jednym z najbardziej zaangażowanych wówczas w sprawę rozliczeń z przeszłości działaczy politycznych był historyk, publicysta i poseł, również członek Rady Naczelnej PPS Adam Próchnik. W roku 1936, przywołując m.in. przypadek Wolgemuta, pisał: *Istnieje sprawa prowokatorów, zdrajców, szpiegów i szkodliwych narzędzi dawnych rządów. Rozprawa z nimi jest moralną koniecznością. Bezkarność takich zbrodni podważa poczucie sprawiedliwości. A cóż do-*

piero, gdy niemal z reguły tego rodzaju osobniki są dobrze zaopatrzone finansowa, przeważnie przez państwo. Podkreślił też, że „nie jest po stokroć słusznym, aby karanie zdrajców pozostawiono samosądom”.

Wzmianka o samosądach nie była chwytem retorycznym. W roku 1935 roku został zastrzelony w Żyrardowie konfident Ochrazy Mieczysław Charewicz. Sprawcy zabrali go z domu i zabili na ulicy imienia Józefa „Montwilli” Mireckiego – legendarnego bojowca OB PPS, który został stracony po zadenuncjowaniu go przez Charewicza i Wolgemuta. Samosąd ten ukazał bezsilność ówczesnego wymiaru sprawiedliwości. Charewicza areszto-

wano w 1933 roku po tym, jak został rozpoznany na ulicy, ale po kilku dniach zwolniono, gdyż nie istniał żaden przepis pozwalający na jego ukaranie. Taki sam los mógł spotkać Wolgemuta. Ich drogi życiowe i postęпки były bowiem niezwykle podobne.

Michał Wolgemut, urodzony w roku 1888 w Siedlcach, był jednym z najbardziej aktywnych agentów policji politycznej, którzy infiltrowali środowiska podejrzewane o prowadzenie działalności wrogiej wobec władzy rosyjskiej. Od 1905 roku wchodził w skład siedleckiej OB PPS. Prawdopodobnie w pierwszej połowie 1906 roku przeszedł na usługi policji politycznej. OB PPS wykonywała wówczas liczne akcje bojowe. Były to przede wszystkim zamachy na przedstawicieli władz rosyjskich i ich agentów oraz napady na kasy monopolowe i urzędy administracji. Konfiskowane pieniądze przeznaczano na cele organizacyjne. Wolgemut brał udział w tych akcjach, zatem dobrze mógł być zorientowany w stanie organizacji konspiracyjnych, nie tylko w Siedlcach, ale i w innych miejscowościach, w tym w Warszawie, z którą organizacja siedlecka utrzymywała stałą łączność.

Jedna z większych akcji OB PPS przeprowadzona została 15 sierpnia 1906 roku. Ówczesna prasa nadała jej nazwę „Krwawej środy”. Była to seria skoordynowanych działań zbrojnych przeprowadzonych w Warszawie i kilkunastu innych miejscowościach, w celu likwidacji funkcjonariuszy rosyjskiego aparatu represji. W wyniku akcji zginęło kilkudziesięciu przedstawicieli rosyjskich władz. Siedlecka OB PPS planowała wówczas dokonanie zamachu na kancelarię policji w celu wykonania wyroku na policmajstrze kapitanie Golcewie. Plan zakładał również dokonanie zamachu na osobę generał-gubernatora, gdyby przybył na miejsce zdarzenia. Akcję w ostatniej chwili odwołano z powodu podejrzana-

go zachowania, jednego z członków organizacji, Michała Wolgemuta. Do udanego zamachu na wyróżniającego się szczególnym okrucieństwem policmajstra doszło kilka dni później.

Władze carskie odpowiedziały na „krwawą środę” przeprowadzając we wrześniu 1906 roku wojskową pacyfikację w Siedlcach, głównie w dzielnicy żydowskiej. Zginęło wówczas około 100 osób. Nawet nie starano się nadać tym wydarzeniom pozorów rozruchów antysemitów. Z odezwy do ludności miasta wydanej po pogromie przez władze wynika jednoznacznie, że jego celem było zdławienie ruchu rewolucyjnego krwawymi, masowymi represjami. Jak stwierdził Józef Piłsudski: *Pogrom siedlecki wywołał popłoch w całej organizacji partyjnej, bo zrozumiano, że rząd może wszystko, że rząd może wszędzie, w każdym punkcie Królestwa zorganizować z pomocą wojska taki sam pogrom.*

Nastąpił odpływ fali rewolucyjnej. Zaniechano wieców i manifestacji politycznych, zmniejszyła się liczba strajków. Rewolta nie została jednak stłumiona. Nadal trwał bojkot rządowych szkół rosyjskich. Rozwijala się sieć tajnych szkółek polskich. Kolportowano nielegalną prasę i literaturę. Punkt ciężkości walki o wyzwolenie społeczne i narodowe przeniósł się na akcje zbrojne. W 1907 roku dokonano ich więcej niż w latach poprzednich.

Całkowite rozbitcie ruchu konspiracyjnego w guberni siedleckiej nastąpiło dopiero w 1908 roku za sprawą zdrajcy Wolgemuta. Katastrofą zakończył się zamach na pocztę w Sokołowie przeprowadzony 10 stycznia 1908 roku. W akcji brały udział bojówki OB PPS z Siedlec i Sokołowa oraz bojownicy z Warszawy, m.in. Zofia Owczarkówna i Michał Trzos. Ten ostatni wsławił się w 1906 roku, gdy w przebraniu oficera gwardii carskiej spoliczkował konsula niemieckiego, powodując tym przyjazd do konsultu z przeprosinami generał-guberna-

tora warszawskiego Georgija Skołona, gdzie był przygotowany na niego zamach. Bomby na Skołona rzuciła wtedy Owczarkówna. Sprawców zamachu nie wykryto. Aresztowaną w 1908 roku, po akcji w Sokołowie, Owczarkównę o zamach na Skołona z 1906 roku oskarżył Wolgemut.

W chwili rozpoczęcia przez OB PPS napadu na urząd pocztowy w Sokołowie przybyła na miejsce akcji silna grupa wojska. Michał Trzos rzucił wówczas bombę, która rozszarpała także zamachowca, rozpoczęła się strzelanina. Bojownicy wycofali się. Odwrót był udany, jednak na skutek zdrady uczestniczącego w akcji prowokatora Wolgemuta zamachowców w kolejnych dniach aresztowano. Wraz z nimi aresztowano innych uczestników ruchu antycarskiego, których znał konfident. Łącznie aresztowano 90 osób. Na skutek barbarzyńskiego traktowania kilku z nich zmarło jeszcze w siedleckim więzieniu, zanim wytoczono przeciwko nim proces. Trzynastoletni Witold Sulima (syn Leona, przywódcy Okręgu Siedleckiego OB PPS) był przez 14 dni bity i torturowany, by zdradził resztę członków partii. Zmarł na skutek tortur. Zamordowani zostali w więzieniu także żona i dwaj synowie Leona Sulimy, Leonard i Albin. Córka Konstancja, skazana na dożywotnią katorgę, zmarła w drodze na Syberię. Sam Leon Sulima stracony został na stokach Cytadeli Warszawskiej 4 czerwca 1908 roku.

Po śledztwie część aresztowanych zwolniono, część zesłano na Sybir, a 32 osoby oddano pod Sąd Wojenny w Warszawie. W czerwcu 1908 roku wytoczono przeciwko nim 12 spraw. Oprócz sprawy sokołowskiej były i inne, dotyczyły zamachów wcześniejszych a ujawnionych śledczym przez Wolgemuta. 29 osób skazano na śmierć, trzy na katorgę. Na niektóre osoby wydawano po kilka wyroków śmierci choć były już uprzednio stra-

cone. Wolgemut był jedynym świadkiem oskarżenia we wszystkich 12 sprawach. Wyłącznie jego zeznania były podstawą do orzekania kar. Dla pozorów wydano i na niego wyrok śmierci. Następnie karę zamieniono na 15 lat katorgi, po czym ulaskawiono.

Na tym rola Wolgemuta nie zakończyła się. Pozostał nadal na usługach policji. Na podstawie jego oskarżenia skazano na śmierć legendarnego bojowca PPS Józefa „Montwiła” Mireckiego. Wolgemut oskarżył go o zorganizowanie pod Łapami w 1907 roku napadu na pociąg, wiozący oddział wojska. Mireckiego stracono. W liście przed śmiercią napisał: *Jest u nas w zwyczaju umierać z krzykiem. Krzyków w ogóle nie lubię, jeśli jednak wydać go padnie, to będzie nim jedynie: Niech żyje Polska niepodległa!* Wolgemut jeszcze w 1909 roku składał obciążające zeznania w jednej z wielu kolejnych spraw politycznych. W okresie tym, jak wynika z ostrzeżeń publikowanych w „Robotniku”, jeździł pociągami wraz z funkcjonariuszami Ochrony wyłapując znane mu osoby.

W tym momencie wiedza, jaką o szpiclu dysponowali uczestnicy ówczesnych wydarzeń, urywa się aż do roku 1925, kiedy to został rozpoznany w Białymstoku. Pracował wtedy na kolei pod przybranym nazwiskiem Stanisława Ostrowskiego. Działał w Polskim Związku Kolejarzy, gdzie pełnił funkcję prezesa, lecz został usunięty za nadużycia. Próbował pracy w Policji Państwowej, skąd został również usunięty. Nie jest wykluczone, że oferował swoje usługi jako szpicel. W jego sprawie u władz interweniowało Stowarzyszenie Byłych Więźniów Politycznych. Aresztowany, uniknął jednak kary, gdyż prokurator nie mógł mu wytoczyć sprawy ze względu na przedawnienie. Został uznany winnym jedynie zamieszkiwania pod obcym nazwiskiem. Związek Parlamentarny Polskich Socjalistów w 1926 roku złożył do Ministra Sprawiedliwości



Spełnienie wyroku śmierci przez PPS RYSUNEK Z KRAKOWSKICH „NOWOŚCI ILLUSTROWANYCH”

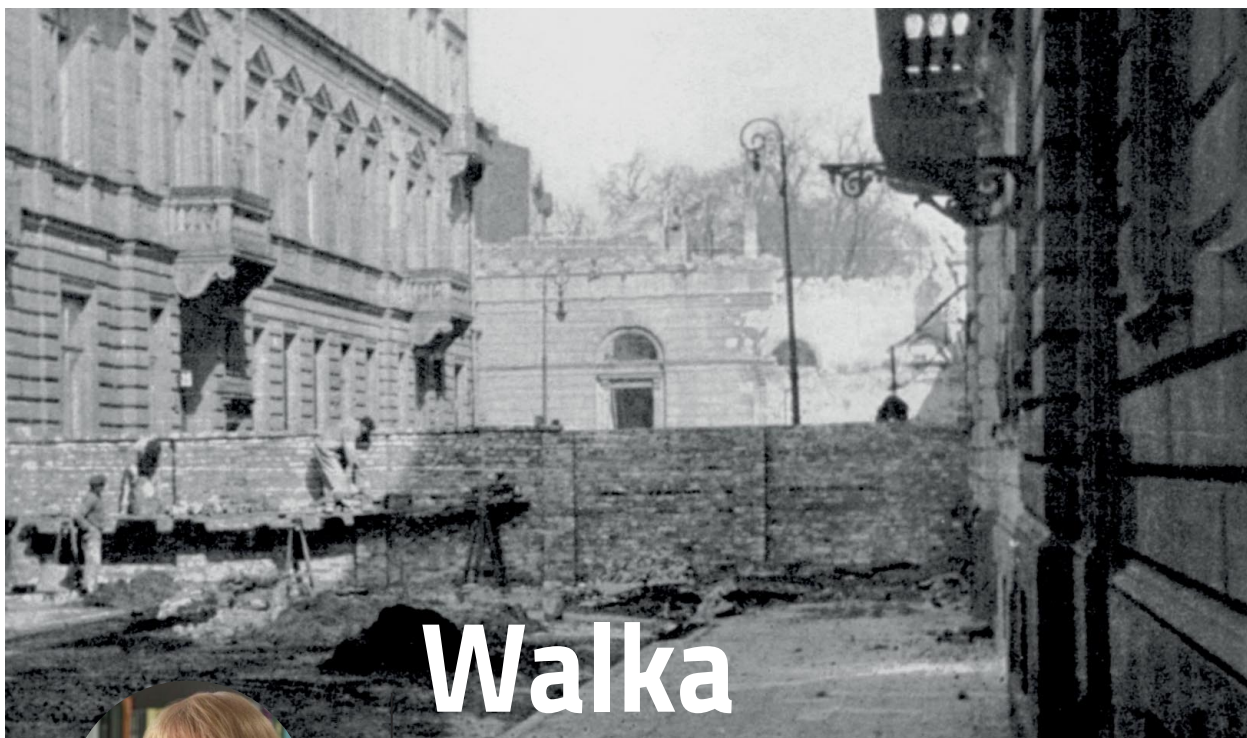
interpelację „w sprawie umorzenia postępowania przeciw osławionemu prowokatorowi Michałowi Wolgemutowi”. Interpelacja nie przyniosła skutku. W 1927 roku w wyniku nacisku opinii publicznej zwolniono go z posady. Ostatnia wzmianka o Wolgemucie pochodzi z 1934 roku: *Dziś Wolgemut mieszka sobie najspokojniej w Białymstoku i znalazł zajęcie u jakiegoś prywatnego przedsiębiorcy.*

Adam Próchnik mając na myśli m.in. sprawy Charewicza i Wolgemuta w roku 1936 postulował: *Powinna była od samych zaczątków państwa polskiego powstać instytucja, o charakterze oficjalnym, która zajęłaby się przetrząśnięciem planowo wszystkich archiwów znajdujących się w kraju, która wysłałaby swych przedstawicieli dla zbadania archiwów państw zaborczych, zwłaszcza rosyjskich, która ściągnęłaby zeznania od wszystkich osób, które mają coś do powiedzenia, która sporządziłaby na podstawie dokładnej analizy zebranego materiału szczegółową listę osób, które zawiniły za minionych rządów wobec sprawy wyzwolenia narodowego i społecznego.*

Niewątpliwie znajdujące się wówczas w Moskwie akta carskiej policji stanowiłyby dowód antynarodowej

zdradzieckiej działalności Wolgemuta. Archiwalia te Związek Sowiecki zobowiązał się zwrócić Polsce traktatem ryskim z 1921 roku. Akta Siedleckiego Gubernialnego Zarządu Żandarmerii do Polski wróciły jednak dopiero w 1964 roku. Znajdują się w nich, niedawno odnalezione przez autora niniejszego artykułu, dokumenty wytworzone ręką Wolgemuta. Można odtworzyć na ich podstawie dalsze losy konfidenta. Prawdopodobnie w 1909 roku, gdy okazał się już nieprzydatny, żandarmeria zrezygnowała z jego usług. Zaopatrzony w pieniądze, pod zmienionym nazwiskiem udał się do Odessy. Tu pracował w założonym przez siebie warsztacie, śląc do naczelnika Zarządu Żandarmerii w Siedlcach natrętne listy z prośbami o pieniądze i deklaracjami świadczenia dalszych usług.

Listy podpisywał nazwiskiem Stanisław Ostrowski oraz inicjałami M. W. Powtarzane wielokrotnie prośby o pieniądze uzasadniał swoimi „zasługami”. W lutym 1911 roku pisał do naczelnika Grigoriewa: *Jaśnie Wielmożny Panie! (...) Uprzejmie proszę wejść w moje położenie i proszę o naznaczenie mnie jakąś sumę pieniędzy. Ponieważ tę sumę, którą otrzymałem nie mogę się zupełnie zabezpieczyć. Pro-*



FOT. PAP



dr Hanna Węgrzynek
FOT. PAP

Walka o zachowanie człowieczeństwa

Od początku w gettach zaczął tworzyć się wielki cywilny ruch oporu, którego celem było nie tylko przetrwanie, ale także zachowanie człowieczeństwa – podkreśliła dr Hanna Węgrzynek, historyk zajmująca się dziejami Żydów w Polsce.

W 1939 roku w szeregach Wojska Polskiego walczyło około 100 tys. osób pochodzenia żydowskiego. Przegrana wojna obronna Polski także dla nich, a może przede wszystkim dla nich, oznaczała kres dotychczasowego świata. Jak wyglądała sytuacja ludności żydowskiej w pierwszych miesiącach okupacji?

Rzeczywiście szacuje się, że około 100 tys. polskich Żydów znalazło się w armii, było to około 10 proc. jej stanu. Właściwie nie powinno to dziwić. Żydzi stanowili około 10 proc. ludności II Rzeczypospolitej. Mówiąc o pol-

skiej armii 1939 roku, rzadko wspomina się o tym, że około 1/3 to żołnierze wywodzący się z mniejszości – nie tylko żydowskiej, ale także ukraińskiej. Pamiętam, że na początku lat 90. podczas pobytu we Lwowie, widziałam długie kolejki Ukraińców, stojących przed konsulatami z polskimi książeczkami wojskowymi. Na ich podstawie przysługiwały im wówczas jakieś korzyści.

Popularny jest pogląd, że rzadko zajmowali wysokie stanowiska. Nie zawsze się tak zdarzało. W polskiej armii służyło trzech generałów pochodzenia żydowskiego. Celowo używam

słowa – pochodzenia, ponieważ najczęściej były to osoby silnie zasymilowane, jak choćby pochodzący ze Stanisławowa kawaler Orderu Virtuti Militari – gen. Bernard Stanisław Mond, który dowodził 6. Dywizją Piechoty. Ciekawe są również jego losy powojenne. Po dostaniu się do niewoli przebywał w oflagach, następnie trafił do Francji, skąd w styczniu 1946 roku wrócił do Polski. Przez pewien czas był zatrudniony w Państwowym Polskim Biurze Podróży „Orbis”. Po zwolnieniu pracował jako pomocnik magazyniera...

Przypomina to historię gen. Sosabowskiego... Co ciekawe także pochodzącego ze Stanisławowa...

To pokazuje, jak losy żydowskie były podobne do polskich. Wspomnę także o por. Henryku Jedwabiu, który podczas wojny obronnej Polski służył w 84. Pułku Strzelców Poleskich. Po klęsce wrześniowej, drogą przez Rumunię, dostał się na zachód do Francji walcząc w jej obronie, następnie dalej do Anglii. W 1942 roku wstąpił do Samodzielnej kompanii komandosów, bijąc się m.in. o Monte Cassino, Ankony i Bolonię. Po wojnie początkowo mieszkał we Włoszech, potem w Anglii, gdzie pracował fizycznie i studiował. W 1950 roku wyemigrował do

nej już na samym początku wojny. Z tego, co wiem, Żydzi byli jedyną mniejszością w polskiej armii, na którą nie było skarg we wrześniu 1939 roku.

Tego nie wiem, ale na pewno sprawa ukraińska była bardziej kontrowersyjna i skomplikowana. Choćby z uwagi na silne tendencje nacjonalistyczne i dążenia do stworzenia niezależnego państwa ukraińskiego. Żydzi natomiast podczas wojny obronnej zdecydowanie opowiedzieli się po stronie polskiej. Zdawano sobie sprawę z tego, co działo się za zachodnią granicą. Przypomnę tu o Polenaktion z 1938 roku, kiedy wydano z Niemiec polskich Żydów, o Kristallnacht,

łabym zdementować jeszcze jeden stereotyp, który często pojawia się, zwłaszcza w komentarzach związanych z pogromem w Jedwabnem, a mianowicie pogląd, że Żydzi radośnie witali Armię Czerwoną. To nie było takie oczywiste. Owszem, wśród działaczy komunistycznych znajdowało się wiele osób pochodzenia żydowskiego, ale w II RP nie był to jakiś liczny ruch. Związku Radzieckiego obawiano się z różnych powodów. Głównie z jednego powodu. Żydzi w Polsce byli przeważnie bardzo religijni, przywiązani do tradycji. A co działo się, kiedy na kresach wschodnich w latach 1919–1920 pojawili się bolszewicy? Zamykano synagogi, niszczone je, profanowano. Obawiano się właśnie tego, ale też odbierania własności prywatnej.

Niemcy natomiast zaraz po rozpoczęciu okupacji zaczęli realizować to, co wcześniej zrobili u siebie. Wrzesień i październik 1939 roku to powszechne niszczenie synagog, a także postępująca stygmatyzacja oraz izolacja ludności żydowskiej. Zaczęto tworzyć getta. Największe i najmocniej przebijające się do świadomości społecznej było to warszawskie, jednak pierwsze zostało utworzone w Piotrkowie Trybunalskim już 8 października 1939 roku.

Od grudnia Żydzi na terenie Generalnego Gubernatorstwa musieli nosić opaskę – Gwiazdę Dawida umieszczoną na białym tle. Miała ona określone wymiary. Chodziło o to, by była widoczna z daleka. Oznaczono sklepy, restauracje żydowskie czy innego rodzaju obiekty prowadzone przez Żydów. Skonfiskowano wiele należących do nich przedsiębiorstw, zakazano wykonywania pewnych zawodów.

Wspomina pani o gettach, czy od początku spodziewano się decyzji w kierunku kumulowania ludności żydowskiej w tego typu miejscach?

Myślę, że nie. Szczególnie w początkowej fazie. Wcześniej w Niemczech były

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)



Kanady. Warto przełamywać krzywdzące stereotypy, że Żydzi słabo walczyli.

„My Żydzi, dzieci tej ziemi od zamierzchłych czasów, stajemy wszyscy w karnym orydku, wszyscy zwarci i opanowani na wezwanie Pana Prezydenta Rzeczypospolitej i Naczelnego Wodza, aby bronić naszej ukochanej Ojczyzny, każdy na wyznaczonym mu przez władze kierunku i oddamy, gdy zajdzie tego potrzeba, na ołtarzu Ojczyzny, nasze życie i nasze mienie bez reszty” – czytamy w odezwie Związku Rabinów RP ogłoszo-

czyli nocy kryształowej (9–10 listopada 1938 roku), kiedy doszło do wielu pogromów, w trakcie których podpalono 171 synagog, zniszczono ponad 7 tys. sklepów i zginęło 91 Żydów.

Polska ponosi klęskę, II RP upada. Wydaje się, że z uwagi na ideologię naziistowską i to, o czym pani wspomina, mniejszość żydowska jest w najgorszym położeniu.

Stąd tak liczna ucieczka na wschód. Nie dlatego, że Żydzi masowo byli komunistami i chcieli uciec do Związku Radzieckiego, ale właśnie ze strachu przed Niemcami. Przy okazji chcia-

co prawda plany stworzenia dzielnic żydowskich, ale je zarzucono. Sytuacja zaczęła się jednak zmieniać po zajęciu Polski i szoku, jakiego doznali najeźdźcy.

Co ma pani na myśli?

Trzeba powiedzieć jasno, że Niemców wkraczających na tereny II RP na początku kampanii wrześniowej zaskoczył obraz polskich miasteczek. Jest na ten temat wiele relacji. Żołnierze niemieccy byli zaskoczeni liczbą ludności żydowskiej. W Niemczech Żydzi stanowili niecały procent ludności, w Polsce ponad dziesięć razy więcej. Żydzi niemieccy byli bardziej zasymilowani, wtopieni w miejscową kulturę. Natomiast w Polsce Niemcy zobaczyli tradycyjnych Żydów wyróżniających się strojem i wyglądem i to w liczbie wcześniej przez nich niespotykanej. Był to dla nich szok. Zaczęło mówić o dzielnicach żydowskich.

Już w 1939 roku pojawia się zamiar stworzenia właśnie takiego wyodrębnionego obszaru w Warszawie, początkowo na Pradze. Ewidentnie jednak Niemcy wkraczając na ziemie polskie nie mieli jasnego planu. Sytuacja zmieniła się krok po kroku, na bieżąco. Opowieść o tym trzeba zacząć od coraz trudniejszych warunków bytowych. Wiele zakładów produkcyjnych nie działa, ludzie tracą pracę, a co za tym idzie zaczyna się głód. Nadchodzi ciężka, bardzo mroźna zima...

Przez 22 dni było poniżej -15 stopni Celsjusza...

Siłą rzeczy pogarszają się warunki sanitarne, a to niesie za sobą groźbę wybuchu epidemii i tak też się dzieje. Wiosną 1940 roku jednym z głównych problemów staje się w Warszawie epidemia tyfusu. Postanowiono wydzielić obszar zagrożony. Pojawiają się informacje, że najbardziej zainfekowana tyfusem jest tzw. dzielnica północna, czyli obszar w większości zamieszki-

wany przez Żydów, więc w celu obrony ludności polskiej należałoby ten obszar odizolować. Dodam jeszcze, że pod koniec marca 1940 roku w okolicach Wielkanocy dochodzi do pogromu, co Niemcy później wykorzystują propagandowo twierdząc, że należy odizolować ludność żydowską, w celu jej obrony przed Polakami. Teoretycznie bronią drugiej strony.

Jak wyglądało codzienne życie Żydów zamkniętych w warszawskim getcie? Z czym były największe trudności, co było największym wyzwaniem?

Utworzenie getta miało ogromny wpływ, przede wszystkim na życie ludności żydowskiej, ale także na funkcjonowanie całej Warszawy. Wydaje mi się, że rzadko zdajemy sobie sprawę z tego, jaki to miało wpływ na co-



Most nad ul. Chłodną w Warszawie łączący dwie części getta FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

Czyli nie było od początku cynicznie zaplanowane?

Nie było. Bardziej bym powiedziała, że wykorzystywano sytuację, jak z tyfusem. W Polsce jesteśmy przekonani o tzw. niemieckim Ordningu, przyzwyczajeni do obrazu świetnie zorganizowanych, silnych Niemców. Tymczasem to wcale tak nie wyglądało i nie wygląda. Pierwsze doświadczenia ze współczesnymi instytucjami niemieckimi pokazały mi, że tam też nie zawsze wszystko działa, że bywają niepunktualni, są różne problemy itd. Ponadto warto mieć świadomość, że tamta armia niemiecka stanowili młodzi ludzie, którzy po prostu się bali. Bardzo często ważnymi urzędnikami zostawali ludzie bez doświadczenia.

dzienne funkcjonowanie miasta. Dość szybko zaczął się organizować szmugiel i to nie taki, jak sobie teraz wyobrażamy. Na terenie getta działały telefony, poczta i proszę sobie wyobrazić, że nadawano paczki. Najpierw wysyłano do getta paczkę z jakimś surowcem, a następnie z getta odsyłano paczkę z wytworzonymi już towarami. Później taka wymiana stała się niemożliwa, ale przez pewien czas tak to wyglądało.

Jeszcze większym problemem niż na początku okupacji stała się utrata źródeł utrzymania. W getcie panuje bieda, głód. Pojawiają się przesiedleńcy z innych miejscowości i oni są w najgorszej sytuacji, choćby dlatego,



Robotnicy budują mur na ul. Grzybowskiej
FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

że w przeciwieństwie do miejscowych nie mają żadnych kontaktów. Najczęściej nie mają też pieniędzy, a możliwości zarobkowania są niewielkie. Judenrat organizuje dla nich miejsca schronienia, najczęściej są to synagogi. Z czasem podstawowym problemem stała się żywność. Tym bardziej, że racje przekazywane, czyli dopuszczalne przez Niemców do getta były bardzo niskie. W pewnym okresie wynosiły około 300 kalorii dziennie, czyli naprawdę bardzo mało i kwestia zapewnienia żywności stała się największym wyzwaniem.

Poza Judenratem, w oparciu o przedwojenne struktury społeczne, polityczne organizowane są kuchnie ludowe, opieka nad dziećmi. Tworzy się wielki ruch społeczny, który próbuje zorganizować życie w tym ogromnym skupisku ludzi, znajdujących się w różnej kondycji, zarówno fizycznej, jak i materialnej.

Pomimo tych wszystkich przeciwności w getcie istniało życie kulturalne. Na ile dawało to mieszkańcom choć namiastkę normalności?

To prawda, mogę panu jeszcze powiedzieć, że w getcie była plaża. Bodaj w okolicach Żelaznej, Chłodnej, gdzie usunięto gruz i rozłożono leżaki, na których kobiety się opalały. W zasa-

dzie daleko temu było do plaży, ale chodziło o tę właśnie namiastkę normalności. Ktoś zwrócił mi uwagę, że najgorsze dla niego było nie choroby, nie głód i nawet nie obawa o życie, ale odebranie poczucia godności.

Czyli w zasadzie to istnienie życia kulturalnego w takich warunkach nie powinno nikogo dziwić, wręcz przeciwnie.

To jest właśnie wspomniana już kwestia godności, bardzo ludzka przecież. W getcie istniało nie tylko życie kulturalne, ale także prowadzono badania naukowe, np. nad głodem. Po wojnie wydana została książka zatytułowana „Choroba głodowa: Badania kliniczne nad głodem wykonane w getcie warszawskim z roku 1942”. Popularne było także pisanie, niestety niewiele z powstałych wówczas zapisków się zachowało.

Odbływały się kursy, szkolenia. Wiele z tych inicjatyw było nielegalnych. Można powiedzieć, że od samego początku na terenie getta zaczął tworzyć się wielki cywilny ruch oporu, którego celem było nie tylko przetrwanie, ale także zachowanie człowieczeństwa. Istniały także teatryki i kabarety, na co akurat Niemcy zezwalali z zastrzeżeniem, że nie wolno

w nich wystawiać sztuk tzw. autorów aryjskich. Istnieje wiele relacji o tym, że ludzie decydowali się nie wydać pieniędzy na jedzenie, by móc uczestniczyć w wydarzeniu kulturalnym.

To pokazuje, jak ta potrzeba godności i poczucia człowieczeństwa była silna...Kto miał szansę się uratować?

Teoretycznie łatwiej było tym Żydom, którzy byli zasymilowani, mówili dobrze po polsku i mieli polskich znajomych. Jednak bardzo często przeżywali ci, którzy teoretycznie nie mieli żadnych szans na przeżycie i było to po prostu kwestią przypadku. Podejmowano próby znalezienia dla siebie miejsca po tzw. aryjskiej stronie, zwłaszcza gdzieś na wsi. W przypadku mężczyzn czynnikiem, który zdradzał pochodzenie było obrzezanie, co było trudne do ukrycia. Pod tym względem łatwiej było kobietom. Wiele z nich, co z pozoru może wydawać się zaskakujące, zgłosiło się na roboty do Niemiec, gdzie mogły być bardziej anonimowe. Czyli sytuacja przed którą większość Polek próbowała się obronić, dla Żydówek stawała się szansą.

Wbrew często spotykanej opinii Żydzi nie byli całkowicie bierni i potrafili się bronić.

Tak naprawdę przez cały okres istnienia getto było miejscem wielkiego cywilnego ruchu oporu. Oczywiście istniała Żydowska Organizacja Bojowa i Żydowski Związek Wojskowy. Jednak konspiracja zbrojna była stosunkowo nieliczna, objęła do dwóch tysięcy osób. Przeważnie młodych, kilkunasto- i dwudziestoparoletnich, z których tylko nieliczni posiadali broń. Trudno było więc myśleć o walce w getcie jedynie w kontekście działań militarnych. Ważna była ochrona getta, wierzono bowiem, że jego zachowanie pozwoli Żydom przetrwać.

Rozmawiał Mateusz Wyderka

AK

14 lutego

DEFILADA SZACUNKU

w Narodowym Dniu Pamięci Żołnierzy
Armii Krajowej

PROGRAM OBCHODÓW

- 11:00 – msza św. w intencji poległych, zmarłych i żyjących żołnierzy Armii Krajowej w Bazylice Świętego Krzyża (ul. Krakowskie Przedmieście 3)
- 12:00–12:30 – uroczysty przemarsz: ul. Krakowskie Przedmieście – Nowy Świat – rondo gen. Charles’a de Gaulle’a – plac Trzech Krzyży – Al. Ujazdowskie – ul. Matejki – Pomnik Polskiego Państwa Podziemnego i Armii Krajowej
- 12:45 – Apel Pamięci połączony ze złożeniem kwiatów przy Pomniku Polskiego Państwa Podziemnego i Armii Krajowej
- 14:30 – poczęstunek dla uczestników uroczystości

PRZYJDŹ ODDAĆ HOŁD BOHATEROM AK

